Nr. 36. Lwów — Środa dnia 13 Lutego. Rok 1895.

Wychodzi w dni powszednie o godzinie 3 po południu z datą dnia następnego.

NUMER KOSZTUJE
we Lwowie . . . . . . 4 ct.
na prowincyi . . . . . . 6 „
Num. z poprzednich miesięcy po 10 ct.

Wszelkie „Doniesienia prywatne“ jakoto o zaręczynach, ślubach, weselach, nabożeństwach żałobnych, pogrzebach, wszelkie nekrologi, opisy uczt i zabaw prywatnych, wszelkie reklamy dla balów, odczytów i koncertów, wszelkie spisy składek, doniesienia o zgubach lub o znalezionych przedmiotach it. d. i t. d. po 50 centów od wiersza.

PRZEGLĄD
POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

Prenumerata z przesyłką pocztową wynosi:
w kraju i w Austryi miesięcznie 1 złr. 10 ct.
w Niemczech „ 1 „ 50 „
w innych państwach „ 2 „ — „
Za zmianę adresu opłaca się 20 ct.
Opłatę należy uiścić równocześnie z żądaniem zmiany adresu.

CENY OGŁOSZEŃ
Zwyczajne ogłoszenia na czwartej stronicy:
Wiersz petitowy albo jego miejsce . . 10 ct.
W „Drobnych ogłoszeniach“ za każde słowo drukiem petitowym po . . . . . 2 „
zaś tłustym garmondem po . . . . . 4 „
Korespondencye prywatne za każde słowo drukiem petitowym po . . . . . 4 „
Nadesłane na trzeciej stronicy:
Ogłoszenia, wiersz petitowy albo jego miejsce 30 ct.
Reklamy . . . . 20 „
Nekrologia . . . . 20 „
Ogłoszenia do „Przeglądu“ przyjmuje „BIURO DZIENNIKÓW“ ul. Karola Ludwika l. 9.

Dziś: św. Katarzyny — 1 Few. Tryfona. Jutro: św. Walentego — Stritenje Hosp. | Adres Redakcyi i Administracyi: Ulica Sykstuska l. 45. | Naczelny Redaktor i Wydawca: Ludwik Masłowski. | Wschód słońca g. 7 m. 18, Zachód „ „ 5 „ 12 | Długość dnia g. 10 m. 0, Przybyło dnia od wczoraj m. 3

Przegląd polityczny.

Lwów 12 lutego.

Pojawiły się w prasie rozumowania na temat możliwej abdykacyi ks. Ferdynanda bułgarskiego. W kraju jego zapanowały przykre stosunki, on sam traci podobno życzliwość mocarstw i zaufanie ludzi, robiących politykę w Bułgaryi, gabinet Stoiłowa-Naczowicza nie posiada rzeczywistego poparcia w narodzie, stronnictwa ścierają się ze sobą na zabój, a wojsko zaczyna politykować i to w kierunku najmniej pożądanym przez księcia. Niedawno doniósł urzędowy telegram z Sofii, że uzupełniające wybory do sobrania były świetną manifestacyą na rzecz polityki rządowej: z siedmnastu mandatów tylko dwa dostały się opozycyonistom i to umiarkowanym, wszystkie zaś inne otrzymali kandydaci ministeryalni. Odwrotną stroną tak pięknego obrazu jest jednak następujący telegram, otrzymany przez Rumunię: „Podczas wyborów działy się rażące nadużycia, nawet gwałty. W wielu miejscowościach policya płazowała wyborców nieprzychylnych rządowi, odpędzając ich od wyborczego lokalu. W Tirnowie przyszło do formalnej utarczki ludu z policyą i tam jest wiele pokaleczonych“. Potwierdzenie tej wiadomości znajdujemy w takiem doniesieniu z Konstantynopola: „Nadeszła tu relacya przedstawiciela Porty przy rządzie bułgarskim, że muzułmańscy obywatele księstwa zanieśli do owego przedstawiciela skargę na władze administracyjne, które zmuszały muzułmanów do głosowania na kandydatów rządowych, a kogo zmusić nie mogły, tego wtrącały do aresztu na czas głosowania“. Rzecz naturalna, że tak przeprowadzone wybory musiały dać zwycięstwo kandydatom rządowym, ale sobranie, wybrane w taki sposób, nie może być uważane przez księcia za wyraz usposobienia ludności. Książę pokutuje za własną niezręczną politykę. Gorącem jego życzeniem jest zdobyć oficyalne uznanie mocarstw, a więc przedewszystkiem Rosyi. „O tem on dzień i noc myśli“ — jak pisze korespondent berlińskiej *Vossische Ztg.* — i dlatego się zbliżył do Cankowa, który w konaku jest teraz *persona gratissima.* Skoro tylko książę otrzyma zapewnienie z Petersburga, że przeciwko jego panowaniu rząd rosyjski nie wystąpi, to zaraz zrzeknie się władzy, wyjedzie, ale zaraz potem postawi na elekcyjnem sobraniu swoją kandydaturę“. Jednocześnie gazeta *Politik* ogłosiła takie doniesienie: „Ks. Ferdynand tylko dlatego usunął Stambułowa, że on był dlań zawadą na drodze ku pogodzeniu się Rosyą. Ponieważ jednak ani Stoiłów, ani Naczowicz nie okazali się dobrym pomostem do takiej zgody, więc książę zwrócił się teraz do Cankowa, który rzeczywiście bardzo prędko i zręcznie stał się jakby protektorem Koburga. Kwestya tylko w tem, o ile Canków jest mu szczerze życzliwy i następnie — czy naprawdę zdoła go skutecznie zaprotegować w Petersburgu? Prędzej można przypuszczać, że po kolei straci wszystkie szanse, a ponieważ w samej Bułgaryi nie znajdzie poważnego poparcia, zatem chyba będzie musiał spakować kuferek. Mówią, że wpływy Stambułowa w wojsku ogromnie się zwiększają i to jest bardzo zrozumiałe, bo oficerowie bułgarscy nie chcą ustąpić swych posad oficerom rosyjskim, którzy po zgodzie zaraz byliby przysłani. Kto wie tedy, czy książę nie będzie musiał powrócić do Stambułowa i czy wtedy ów były dyktator, którego dla polityki okrzyknięto złodziejem i mordercą, zechce go przyjąć“. Wreszcie sam Canków oświadczył korespondentowi *Nowego Wremienia*, że doradza księciu powołać na ministrów takich ludzi, którzy nigdy i w niczem nie narazili się Rosyi i którzy posiadają zupełne zaufanie petersburskiego rządu, a dopiero potem można powoli się starać o uznanie władzy księcia przez Rosyę. Canków dodał: „Jeśli książę nie usłucha mnie, natenczas zorganizuję własne stronnictwo, zawrę sojusz z Karawełowem i rozpocznę akcyę opozycyjną“. Łatwo się domyśleć co to znaczy po amnestyi udzielonej wszystkim spiskowcom, którzy wrócili do kraju. Książę znalazł się tedy między młotem a kowadłem: między wojskiem i stambułowczykami z jednej strony, a cankowistami z drugiej. Pokazuje się z tego, że nigdy nie był dobrym politykiem, bo rozpoczął akcyę, wysnutą w buduarze swej żony, nie zbadawszy pierwej, czy są dla niej realne podstawy. Jemu się zdawało, że zrobi, jak zechce, bo widocznie mniemał, iż zręczne rządy Stambułowa są jego zasługą. Zbyt dobrze myślał o swej wprawie i przerachował się. Chwiejność gabinetu Stoiłowa-Naczowicza, jego zadzieranie z Austryą dla przypodobania się cankowistom, a jednocześnie wypieranie się zwrotu ku Rosyi, świadczą o tem, że gdy nadejdzie chwila stanowcza, ten gabinet okaże się bezsilnym. Dodać zaś należy, że w Rosyi bynajmniej nie widać skłonności do jakichkolwiek układów z ks. Ferdynandem. Układy — to zawsze jakieś ustępstwo, a Rosya widzi, że żadnego czynić nie potrzebuje, skoro ten „intruz“, jak księcia nazywają rosyjskie dzienniki, sam wlazł w matnię. Petersburskie gazety tak się odezwały: „Żadne mocarstwo, podpisane na traktacie berlińskim, nic mieć nie może przeciw wyborowi na tron bułgarski małego księcia Borysa, wszelako pod warunkiem, że egzarcha bułgarski namaści go olejami świętymi na znak przyjęcia go do cerkwi prawosławnej. Bułgarzy byliby zadowoleni z takiego załatwienia sprawy. Możnaby nawet księciu Ferdynandowi, jako ojcu, zostawić pewną opiekę nad synem i z tej racyi jakiś wpływ na bieg spraw państwowych. To jest jedyne możliwe rozwikłanie sytuacyi. Ale ambitna matka nie dopuszcza ks. Ferdynanda do takiej akcyi. Ambicya i żądza panowania zamykają ostatnie wyjście bez katastrofy“.

Jednak nie jest ono zupełnie ostatnie, jeśli księciu idzie nie o experymenta z własną genialnością polityczną, ale o utrzymanie tej niepodległości kraju, którą zastał za przybyciem do Bułgaryi. Powinien tylko sumiennie zbadać opinię ogółu myślącego i odpowiednio postępować, choćby to nie dało mu formalnego uznania mocarstw. W przeciwnym razie jego experymenta mogą się skończyć tak, że panowanie w Bułgaryi będzie dlań tylko miłem wspomnieniem.

Znowu „surowe“ śledztwo zarządzono na berlińskim dworze, a ono zapewne tak samo nie da żadnego rezultatu, jak nie dało śledztwo w sprawie Kotzego o autorstwo anonimowych listów, którymi ktoś niepokoił całą arystokracyę niemieckiej stolicy. Ale tym razem idzie o rzecz bez porównania ważniejszą. Mniej więcej od roku organ socyalistyczny *Vorwärts*, główny monitor dyrektoryatu socyalnej demokracyi, począł podawać najbardziej sekretne rozporządzenia rządowe, a nawet poufne rozmowy w pałacu królewskim. Cesarz wydał tajny okólnik do komendantów o postępowaniu z żołnierzami, ale zanim ów okólnik rozesłano z Berlina, już on się pojawił w *Vorwärts.* Na swe imieniny cesarz ułożył listę różnych nagród dygnitarzom i spis ten najpierw się pojawił w socyalistycznym dzienniku, a dopiero później w rządowym. Cesarz odbył naradę z szefem swej kancelaryi przybocznej Lucanusem — i treść tej rozmowy zaraz podał *Vorwärts.* Podobnie jest we wszystkiem innem: którykolwiek minister, dowódzca korpusu, czy inny dygnitarz wyda sekretne rozporządzenie, albo przedstawi tajny raport, zaraz o tem wie i ogłasza organ dyrektoryatu socyalistycznego. Dowodzi to, że na wszystkich urzędowych stanowiskach, nawet w najbliższem otoczeniu cesarza są niedyskretni, wspierający socyalistów. Może oni sami nie są socyalistami, ale to pewna, że nie są także przyjaciółmi istniejących stosunków, skoro na rzecz socyalizmu popełniają takie niedyskrecye, aby nie powiedzieć: takie zdrady. Może to rzeczywiście bardzo zatrważać cesarza i sfery rządowe. Ale — powtarzamy — śledztwo pewnie nic nie wykryje.

Korespondencye.

Wiedeń 9 lutego.

Temi dniami odbyło się jeneralne zgromadzenie akcyonaryuszy austro-węgierskiego banku, na którem sekretarz tego banku Mecenseffy zdawał sprawę z czynności instytucyi w roku 1894. Sprawozdanie to nie tylko z tego względu jest zajmujące, że zawiera cyfry dotyczące banku samego, ale więcej jeszcze zasługuje na uwagę swojemi wywodami o ogólnym stanie ekonomicznym monarchii. Przedewszystkiem konstatuje sprawozdawca, że w myśl ugody z dnia 24 lipca 1894 miał bank objąć od rządu austryackiego 112 milionów złr. a od węgierskiego 48 milionów w 20 koronówkach złotych w zamian za guldeny srebrne i banknoty. Do końca roku 1894 oba rządy złożyły w banku kwotę 48,666.650 złr. w złocie, a wzięły z banku 26,846.124 guldenów w srebrze i 16,666.650 złr. w banknotach. Bank został przeto dłużnym rządom kwotę 5,153.876 złr. Wszystkie te wzięte z banku guldeny srebrne puściły rządy w obieg w zamian za wycofane guldeny papierowe, ale publiczność bardzo niechętnie przyjmuje te pieniądze, to też przeszło 6 milionów reńskich srebrnych wróciło do banku. Gdyby ministerstwo skarbu bezczynnie zachowało się w obec tego procesu wyrzucania przez ludność srebra z obiegu, wszystkie usiłowania rządu uregulowania waluty z szerokim podkładem srebra o pełnej płatności spełzłyby na niczem. Skarb państwa wymieniał więc banknoty, które się w jego ręce z obiegu dostawały znowu na srebro w banku i srebro tak uzyskane powtórnie starał się puszczać w obieg. W ten sposób wymieniono przeszło 4 milionów banknotów na guldeny srebrne, ale mimo to zawsze jeszcze znajdowało się w banku z końcem roku 1894 blisko 2 miliony reńskich w srebrze, zwróconych mu z obiegu. Jest to bardzo charakterystyczny objaw i odsłania całą trudność utrzymania dziś w obiegu srebra ciężkiego w tej formie, jak ją w Austro-Węgrzech przyjęto. Blisko 23% srebra wróciło do banku i to przy obiegu nowym, który nigdy nie doszedł nawet do 27 milionów. Cóż za wstręty wypadnie przezwyciężyć, jeśli obieg ten wzróść ma do 60 milionów, jak to jest w projekcie. Niestety w sprawozdaniu nie ma o tem wzmianki, z których krajów srebro najwięcej wraca do kas. Przypuścić można, że kraje bogatsze, mające dziś jeszcze dużo 5 reńskowych not państwowych i 10 reńskowych banknotów łatwiej pozbywają się srebra. Kraje biedniejsze, które pieniędzy w jakiej bądź formie potrzebują i których mieszkańcy czekać nie mogą na wymianę, zadowolnić się zapewnie muszą i srebrnymi guldenami.

Fakt ten większego jeszcze nabiera znaczenia, jeśli się zauważy, że obieg środków pieniężnych w ciągu roku 1894 zmalał o 13,700.000 reńskich, i to mimo pomnożenia banknotów o 21,200.000. Rządy wycofywały z obiegu noty państwowe i nie zastępowały ich w równej mierze srebrem, ani innemi pieniędzmi. Ogólna cyrkulacya pieniędzy w Austro-Węgrzech wynosiła z końcem roku 1894: banknotów za 507,800.000, a not państwowych za 290,100.000 zł., a więc razem 797,900.000 zł. czyli w porównaniu z obiegiem z dnia 31 grudnia 1893 (834·4 mil.) o 36·5 mil. mniej. Było jednak w obiegu jeszcze za 22,800.000 zł. guldenów srebrnych w ostatnich 5 miesiącach wydanych z banku. Dlatego też w ostatecznym rezultacie rachunkowo cyrkulacya pieniędzy zmniejszyła się tylko o 13,700.000 zł. a nie o 36,500.000 zł. Że jednak srebro nie jest tak ruchome jak papier, że go nie można tak łatwo przesyłać pocztą, ani nosić z sobą, ani do większych wypłat używać, przeto oczywiście w skutek tego zwiększenia się obiegu srebra bez równoczesnej możności użycia innych środków zamiennych cierpi wielce ruch i handel. Taka przejściowa faza regulacyi waluty jest nieuchronna, ale w roku ubiegłym w obec ogólnego spadku cen zarówno wszystkich rolniczych produktów jak i najważniejszych artykułów przemysłowych i górniczych, każde zacieśnienie i utrudnienie obiegu środków pieniężnych stawać się musiało ciosem nowym, choć niewidzialnym i trudnym do pojęcia dla ludności.

Wprost niekorzystnym nazywa sprawozdawca rozwój gospodarstwa w monarchii w roku ubiegłym. Wymienia spadek cen produktów rolniczych, zastój w eksporcie wielu gałęzi przemysłowych, sądzi jednak, że „podstawy gospodarstwa są zdrowe, kapitał wzrasta, a i konsumcya się podnosi“. Nie rozumiemy, skąd pan sekretarz zaczerpnął tej pewności o rosnącej konsumcyi, o wzmożeniu się kapitału i o zdrowych podstawach gospodarstwa.

Spadająca stopa procentowa na zachodzie musiała się oczywiście odbić i w Wiedniu, napływał tu może chwilowo kapitał, ale tylko do banków. Gdyby kapitał naprawdę wzrastał, nie byłoby tak wielkiego zapotrzebowania kredytu ze strony kupiectwa, ani ze strony rolników, a tymczasem, jak sprawozdawca przytoczył, właśnie w ubiegłym roku eskontowanie weksli kupieckich bardzo znacznych wymagało sum, bo przez pewien okres 190 milionów zł., a z końcem roku 180.200.000 zł., t. j. o 8,600.000 więcej niż 31 grudnia 1893 r. Nadto pożyczki hipoteczne, zaciągnięte w banku austro-węgierskim, mimo polityki bankowej bardzo w tym kierunku „powściągliwej“, wzrosły o 6,200.000 zł. tj. do sumy 131,500.000 zł. Nie są to objawy wesołe, ani nie stwierdzają wzrostu zamożności. Chybaby przyjąć wypadało, że świadectwem wzrostu kapitałów i zdrowej gospodarki była spekulacya giełdowa, której wybryki przecież sam bank starał się paraliżować, odmawiając zaliczek na papiery wartościowe, a nawet na renty państwowe. Mimo to jednak lombardowanie papierów pochłaniało w przecięciu zawsze sumę 28,100.000 zł., t. j. o 3,400.000 zł. więcej niż w r. 1893, a i to nie jest objawem pocieszającym.

Oczywiście banki zawsze w epokach przesileń najwięcej korzystają z trudności kupca, rolnika i przemysłowca w otrzymaniu gotówki za ich towar. Rozróżnić trzeba jednak potrzebę kredytu wynikającą z wzrostu produkcyi od potrzeby kapitału w czasach, kiedy zbytu nie ma na towar, a w roku ubiegłym właśnie ta ostatnia potrzeba zachodziła. Akcyonaryuszom jednak na razie dzieje się dobrze. Otrzymują oni dywidendę po 42 zł. 90 ct. od akcyi, więc też cały świat przybiera w ich oczach różowe zabarwienie.

Reforma prawa cywilnego
w Austryi.

„*Przegląd prawa i administracyi*“ zawiera w ostatnim (lutowym) zeszycie artykuł, który ze względu na wielką doniosłość zamierzonej reformy prawa cywilnego zamieszczamy jako uwagi godny objaw pisma fachowego, reprezentującego szerokie grono prawników kraju naszego.

Artykuł ten opiewa:

Komisya Izby posłów dla procedury cywilnej w czasie — co przyznać należy — bezprzykładnie krótkim, przygotowała sprawozdania o wielkich rządowych projektach reformy normy jurysdykcyjnej, procesu cywilnego i ustawy o egzekucyach sądowych, obecnie jest zaś zajęta obradami o ustawach wprowadzających. Równocześnie ukonstytuowała się komisya Izby panów, której projekt w myśl osobnej ustawy udzielony został jeszcze przed uchwaleniem go w Izbie posłów. Jeżeli z jednej strony prawdziwem zadowolnieniem przejąć może ten pośpiech, zostający w sprzeczności z dotychczasowym trybem działania parlamentaryzmu austryackiego w sprawach, tyczących się ustawodawstwa cywilnego, ponieważ świadczy, że rzecz całkiem na seryo jest traktowana, — to z drugiej strony niepodobna ochronić się od pewnej obawy o merytoryczną treść projektów takiej doniosłości, jaką ma reforma radykalna wszystkich urządzeń cywilno-sądowych. Niedogodności dotychczasowego stanu rzeczy, które po za wszelką dyskusyą zostają, znosimy cierpliwie w przekonaniu, że prędzej czy później nastąpić musi reforma. Nie takby się rzecz miała z niewłaściwościami, jakieby nam przyniosła reforma, usunięcia ich bowiem jużby się chyba obecna generacya nie doczekała.

Obawę tę uśmierza nieco okoliczność, że projekt rządowy idzie w wielkiej części za wzorem niemieckiej procedury cywilnej, wypróbowanej już kilkunastoletniem doświadczeniem; — całkowicie jednakże obaw pozbyć się nie można, gdyż projekt rządowy — w chwalebnym zresztą bardzo zamiarze ulepszenia wymiaru sprawiedliwości — wypowiada kilka wielkiej doniosłości zmian, które jako całkiem nowe policzyć trzeba do rzędu eksperymentów, może w teoryi uzasadnionych lecz doświadczeniem niepopartych. Taką zmianą jest np. spotęgowana po za granice dotąd w praktyce niemieckiej i w naszem postępowaniu drobiazgowem wypróbowana — władza sędziego działania z urzędu, (§. 186 i 187 proj. kom.), zbliżająca się już bardzo do porzuconej w procesie cywilnym władzy inkwizycyjnej.

Zmiana ta jest następstwem rzuconego w najnowszym czasie hasła prawdy materyalnej w procesie cywilnym, według którego sędzia powinien mieć prawo nieprzestawania na tem co strony mu podają, lecz (jak motywa komisyjne str. 11 przytaczają) — „zaglądania po za kulisy“. Już komisya złagodziła częściowo zbyt krewkie zapędy projektu rządowego w tym kierunku. Hasło to prawdy materyalnej jest bardzo ponętnem i trudno jest przeciwko niemu walczyć bez narażenia się na zarzut, że się broni nieprawdy, a zatem także i kłamstwa. Jest to jakby walka światła z ciemnością, dobrego ze złem. Jeżeli jednakże chodzi o usunięcie jednym zamachem zasady swobodnej między stronami rozprawy, uświęconej praktyką i teoryą lat prawie dwóch tysięcy, jeśli społeczeństwo angielskie dotąd przestrzega tej zasa-

---

18)

W PŁYTKIM PRĄDZIE
POWIEŚĆ
przez *Nagodę.*

(Ciąg dalszy).

Marya przyprowadziła Tolę do małego stolika zasuniętego między dwoma koszami kwiatów i zasiadłszy tam z nią razem w towarzystwie paru młodych mężczyzn, zaczęła ją częstować przysmakami i bawić rozmową, jak wyjątkowo miłego gościa.

Bo ona nietylko naśladowała w stroju swoje rywalki; ona jeszcze kochała je, wabiła uśmiechami, prześladowała nieustannie swem towarzystwem.

Jakaś dziwnie pojęta ambicya kazała jej przed ludźmi solidaryzować się niejako z sympatyami swego męża, a solidarność tę objawiała z tak niezręczną przesadą, że nieraz jeszcze świat nie zdążył podpatrzeć celu gorących uwielbień niestałego Zdzisława, gdy już zachowanie się jego żony wołało zrozumiałym dla wszystkich głosem: gore!

Zasunięta w ten ustronny kąt Tola z pod długich rzęs rzucała trochę nieśmiałe, wyczekujące spojrzenie w przeciwległy róg salonu, gdzie stał wciąż nieporuszony, jakby zahypnotyzowany Edmund.

Im bardziej przeciągało się to nienaturalne oddalenie, tem spojrzenia bywały częstsze ale więcej zakłopotane, błądzące po drodze między rozstawionymi stolikami, jakby brakło im odwagi zwrócić się wprost i otwarcie do celu. Rozmowa przy stoliku rwała się; Tola dawała na los szczęścia odpowiedzi zupełnie nietrafne, wszystkie jej myśli były gdzieindziej.

Edmund tymczasem spoglądając to na nią, to na Zdzisława, przechodził w myśli wszystkie te chwile, w których widział tych dwoje patrzących na siebie, mieszających się widocznie na sam dźwięk swoich imion.

Wszakże i wczoraj Tola wymówić się chciała od bytności u Zdzisławów, i na ostatnim balu po długiej rozmowie, którą zauważyło zazdrosne oko Edmunda, choć nie odgadywało jej doniosłości, wyjechała wpół wieczoru, rozdrażniona i zdenerwowana prawie do łez. Och, ona wiedziała doskonale o uczuciu Zdzisława — czy tylko sama nie ulegała urokowi tego szablonowego zdobywcy serc niewieścich, jakim był ten jego elegancki, wierzący w swą wyższość fizyczną i umysłową, szwagierek?

Szmer rozmów przycichnął na chwilę: państwo Drążykowscy wchodzili do salonu, pod rękę, jak wypadało na kochających się małżonków i ludzi, którym wcale nie szło o to, aby wsunęli się niepostrzeżenie; im szerzej potrzebowano dla nich drzwi otworzyć, tem lepiej; Drążykowski, serce, z niczem się kryć nie potrzebuje.

Tuż za nimi postępowała siostrzenica, mała, okrągła blondynka, niepomiernie zadowolona z swej nowej sukni i kapelusza, a przestraszona tem wejściem do salonu pełnego obcych ludzi, zastawionego sprzętami tak drobnymi i lekkimi, że je lada trąceniem można było przewrócić—i brzmiącego gwarem rozmów w połowie przynajmniej francuskich.

— *Une petite horreur* — szepnął Zoro do ucha swemu sąsiadowi, mierząc z po za cwikiera impertyneckiem spojrzeniem przesuwającą się tuż koło niego pannę Sydonię.

Z tem wszystkiem, gdy nowo przybyli zasiedli, zbliżył się do Zdzisława i bardzo poważnym tonem zażądał przedstawienia go pannie Dalesiewicz. Nie trzeba nigdy omijać sposobności przypatrzenia się z bliska dwom krociom posagu — *cela ne coûte rien et cela peut faire son effet.*

Pana Drążykowskiego znał już; z ciotką nie robił sobie tyle ceremonii; gdyby coś, tego, zanosiło się na coś, będzie dość czasu na przedstawienie się jej, lub wmówienie, że się już było przedstawionym.

Wkrótce potem, przy stoliku przy którym siedziała Sydzia, zapanowała jak najlepsza harmonia i wesołość. „Cette petite“ była klasyczna, ze swymi sielskimi poglądami i opowiadaniami o codziennem życiu państwa Drążykowskich, które zdaje się tam, nad brzegiem Dniestru, nie odbiegało tak dalece od ewangelicznej prostoty, jak tu na miejskim bruku, pomiędzy własnym apartamentem w Europejskim hotelu a cudzemi salonami, do których usiłowano dostać się gwałtem, choćby kosztem parokonnej karety i lokaja ubranego w liberyę.

Przytem opowiadania swoje zdobiła Sydzia uśmiechem odsłaniającym dwa szeregi bardzo równych, białych ząbków, co dodatnio wpływało na słuchaczy.

Panowie otaczający stolik, w liczbie których był Zoro, zaczęli zarzucać ją komplementami i wyciągać na naiwne słówka, w sposób może trochę za ryzykowny jak na tak świeżą znajomość, ale Sydzi nie groziło wcale niebezpieczeństwo, aby to zmiarkowała i uczuła się tem dotknięta. Przeciwnie, rumieniła się coraz to silniej, opowiadała coraz głośniej, i była coraz więcej uszczęśliwiona. Pierwsze wejście w wielki świat stolicy znaczyło się dla niej konkietą, to widoczne.

Mrok zaczął zapadać, — wniesiono lampy. *Five o'clock* miał się ku końcowi; kilka osób już wysunęło się nieznacznie, po angielsku, do przedpokoju. Tola porozumiawszy się spojrzeniem z ojcem, podniosła się od swego stolika; oboje gospodarstwo pospieszyli do nich z pożegnaniem, parę osób poszło za ich przykładem. Wśród zrobionego tem zamięszania, Tola stanęła o dwa kroki od Edmunda, trzymającego się stale drugiej połowy salonu w pobliżu drzwi.

Twarz jej była teraz bledszą jeszcze niż w chwili wejścia, ale bladością inną, nierozjaśnioną promieniejącym wzrokiem i mimowolnym uśmiechem szczęścia. W tej ostatniej, decydującej minucie usteczka jej drżały tak, że nie mogła ich prawie złożyć do wymówienia jednego wyrazu.

— Pan zostaje jeszcze? — szepnęła wreszcie po chwili wahania, podnosząc na Edmunda spojrzenie nieśmiałe, ale jakby żądające wytłómaczenia.

— Zostaję — odparł Edmund z ukłonem, i unikając spotkania z jej oczami.

Cofnął się prędko, aby nie uledz pokusie pochwycenia tej małej ręki, opartej o poręcz krzesła, jakby wpół drogi do niego, rzucenia jej w oczy tego odkrycia, które rozdzieliło ich, tak bliskich już siebie.

Z jasno oświetlonych, wyfroterowanych schodów Tola wyszła na ulicę czarną i pustą; zdawało jej się, że razem z opuszczonym gwarnym salonem zamknęła się po za nią jakaś epoka jej życia, pełna blasków i radosnych uniesień; że wtrącono ją nagle w duchową ciemnicę, bez jednego rozjaśniającego ją lub rozgrzewającego promienia. Co zaszło od wczoraj do dziś, żeby tak całkowicie przeważyć szalę losu z dobrej na złą stronę? Tolę ogarniało osłupienie bardzo bliskie rozpaczy, tem bliższe jeszcze, że unosząc w sercu takie myśli, słuchała obojętnej gawędy ojca i odpowiadała mu zupełnie swobodnie i naturalnie.

Nikt na świecie, rodzony ojciec zarówno jak obcy przechodzień, nie powinien był się domyśleć, że Tola Czarnolińska po raz drugi w życiu oddała komuś serce... na zabawkę.

— No, trzeba przyznać, że dzisiejszy raut był wcale zabawny; ta mała Ukrainka jest klasyczna, — zauważył hrabia Lunio wychodząc od Zdzisławów w towarzystwie kilku innych mężczyzn.

— Czy chcesz mówić o pannie Dalesiewicz? — zapytał Zoro tonem tak uroczystym, jakby wygłaszał nazwisko jakiejś ogólnie znanej a wysoko położonej osobistości, którego sam dźwięk powinien był już przejąć słuchaczy głębokim szacunkiem.

— Panny?... *comment dis tu?* nie znam jej nazwiska, choć ją samą poznałbym już z pewnością nawet za sto lat, gdzieś na Marsie; głosik przenikliwy jak dzwonek, a zdolność do śmiechu wyjątkowa.

— Ej, co tam, taka gąska, nie ma o czem mówić, — ale Tola Czarnolińska jaka to cudowna dziewczyna! nic a nic się nie dziwię Sławkowi, że tak rozgorzał; ja sam... gdyby mi tylko chciała rzucić kilka spojrzeń...

— Więc myślisz, że ona mu rzuca spojrzenia?

— A ty myślisz, że istnieje kobieta, którąby sobie odmówiła przyjemności kokietowania Sławka, gdy on jej daje do tego sposobność. Najpierw *cela pose* — taki konesor — następnie Zdzisław jako *cavallero-servante,* musi być wcale przyjemny: piękny, dowcipny, bije się jak anioł, gra jak ostatni szuler, a nadewszystko śmiały! nie ma rzeczy, którejby on kobiecie w oczy nie powiedział — tacy mają szczęście.

— Krótko mówiąc, niebezpieczny rywal dla szwagierka.

— Dziewońskiego? phi! ten się podaje na posadę męża, a tamten na posadę asystenta, można ich pogodzić.

W tej chwili wysoka postać, ubrana w długi ciemny paltot, minęła gromadkę dowcipkujących przyjaciół i prędkim krokiem zwróciła się w boczną ulicę — rozmawiający spojrzeli po sobie trochę pomięszani.

— Słyszał, czy nie? — szepnął hrabia Lunio, obdarzony bardzo dobrem sercem i nie lubiący nikomu robić przykrości.

— Ej, pewnie nie słyszał; a zresztą niech się za ludźmi jak cień nie włóczy; nie cierpię czegoś tej drabiny.

Oświadczenie to nikogo nie zadziwiło, bo Zoro posiadający sam nie wiele więcej nad cztery stopy wysokości i mniej niż odpowiednią szerokość, miał wrodzony wstręt do wszystkich ludzi dobrego wzrostu i pięknej budowy; na tejże samej zasadzie, choć się do tego nie przyznawał, nie lubił także znacznych majątków i dobrze brzmiących nazwisk, bo jemu nieba odmówiły jednego i drugiego, obdarzając go za to więcej niż wystarczającym zasobem wiary w samego siebie i w wyższość swoich przeznaczeń.

Zoro był człowiekiem zupełnie nowym, ale z tem swojem nowem nazwiskiem, z nowym cylindrem w ręku i nowem *bon mot* na ustach, wchodził do każdego salonu z głową tak dumnie wzniesioną, że najstarsi jego mieszkańcy, ci, którzy się w tych salonach wychowali i wzrośli, mimowoli ustępowali mu z drogi.

(Ciąg dalszy nastąpi).

dy, jeśli się zważy, że procedura Fryderyka W. już była wprowadziła zasadę prawdy materyalnej a widziano się potem w konieczności powrotu do wolnej rozprawy, to zdaniem naszem dobrze by się nad tem zastanowić wypadało, czy należy już dziś pójść za owem olśniewającem hasłem i czy zwłaszcza w Austryi należy uczynić obecnie już skok ogromny od teraźniejszej zupełnej bierności sędziego do roli inkwizycyjnej jego, krok, którego nie uczyniły nawet prawodawstwa od lat wielu ustne postępowanie mające i czy nie należałoby poprzestać — przynajmniej na razie — dopóki hasło nowe się nie ustali w przekonaniu prawnem, przy wypróbowanych długoletniem doświadczeniem w Niemczech zasadach. Wszak łatwiej później po osiągniętych doświadczeniach pójść naprzód, aniżeli cofać się wstecz.

Taką zmianą radykalną jest także wynikające również z owego wzmocnionego stanowiska sędziego odebranie stronom możności odroczenia rozprawy nawet za obopólną ugodą (§. 129, 137 proj. kom.), taką zmianą zbytnie rozszerzenie obowiązku edycyi dokumentów, dające sposobność do wielostronnych szykan, a rozciągające się nawet na osoby trzecie, w procesie żadnego udziału nie mające (§. 300 proj. kom.), — taką zmianą zasady o postępowaniu przygotowawczem i o protokołowaniu, zupełnie nowe, żadnem doświadczeniem nie poparte a trudno wykonalne, ponieważ stawiają zbyt wiele wymagań do wszystkich w procesie działających osób, szczególnie zaś do sędziego kierującego i protokolanta — taką zmianą w końcu urządzenie toku instancyi, którego wykonalność — a może i niewykonalność — dopiero w praktyce może się okazać, a pożyteczność mocno jest zakwestyonowaną w obec tego, że wyższy sędzia nie odbiera bezpośrednich wrażeń, lecz tylko odblask wrażeń odniesionych w pierwszej instancyi tak, iż można powiedzieć, że apelacya według projektu idzie od sędziego dobrze poinformowanego do sędziego gorzej poinformowanego.

Mimo niezaprzeczonych zalet, jakie projekta sądowej reformy w sobie mieszczą, do głosów bezwzględnej pochwały mięszają się głosy przestrogi: *caveant consules!* Odkąd komisye parlamentarne tak szybkim krokiem dążą do nadania projektom mocy ustawy, umysły wszystkich prawników zajmują się żywo nowemi zasadami, pracują Towarzystwa prawnicze, Izby adwokackie, sypią się artykuły w dziennikach fachowych, słowem ruch umysłowy na tem polu po długim zastoju ożywił się znacznie. Między innemi także lwowska Izba adwokatów podjęła prace w tym kierunku, a jak się dowiadujemy, poruszyła w przygotowanym już memoryale wszystkie powyżej poruszone wątpliwości i wiele innych, o których na tem miejscu rozwodzić się nie możemy.

Pytanie tylko, czy nie zapóźno wzięto się do rozbioru projektów w chwili, gdy już prace parlamentarne tak daleko postąpiły? Mamy nadzieję, że organa parlamentarne, które jeszcze będą czynne, wszystkie podniesione wątpliwości gruntownej poddadzą rozwadze. Gdyby jednak w istocie się pokazało, że nasze koporacye prawnicze za późno się ocknęły, wina nie spada na nie, lecz na przyjęty w tym przypadku sposób przygotowania projektów rządowych. Długo już pracowano przy zielonym stoliku w Ministerstwie sprawiedliwości, zanim przez usta hr. Schönborna dowiedziała się Izba posłów, że projekt reformy sądowej jest gotów i będzie w krótkim czasie przedłożony. Traktowanie jako tajemnicę urzędową sprawy tak ogromnej doniosłości, ułatwiło niezawodnie referentowi ministeryalnemu zadanie przygotowania projektu, — pozbawiło jednakże naukę i praktykę możności zabrania głosu w tym przedmiocie. W sprawach daleko mniejszej wagi Ministerstwo zwykło rozsyłać naprzód projekt referenta, zapytywać o zdanie korporacye fachowe, spraszać ankiety itp. — dlaczegoż przy reformie sądowej urządzono niespodziankę, stawiając komisye parlamentu przed niemiłą alternatywą przyjęcia projektu rządowego z małemi poprawkami lub wzięcia na siebie odium odroczenia reformy znowu na czas dłuższy. — Czasu na owe przedwstępne ankiety było dość. Od chwili cofnięcia ostatniego projektu z roku 1881, minęło lat kilkanaście, gdyby w ciągu tego czasu przynajmniej kwestye zasadnicze były poddane dyskusyi kół fachowych, rzecz nie byłaby doznała większej zwłoki, a przystępywalibyśmy do reformy spokojnie bez obawy o przyszłość, mielibyśmy przed sobą rzecz dokładnie znaną, nie zaś — jak dotąd — wielki znak zapytania...

Przeciwko możliwej insynuacyi, jakobyśmy pragnęli głosem przestrogi przed zbytniem przynagleniem sprawy, odwlec reformę, zastrzegamy się jak najmocniej. Upominając się natarczywie od lat dwudziestu istnienia pisma naszego o reformę procesu, powinniśmy być wolni od takiego podejrzenia, a dziś podpisujemy z najgłębszego przekonania zdanie, wypowiedziane w referacie komisyi Izby poselskiej, że obowiązujące u nas obecnie postępowanie sądowe stało się *ein ganz unbrauchbar s Werkz-ug der Rech'sdurchsetzung.* Nie możemy jednak tym razem zaoszczędzić rządowi zarzutu, że w najlepszym zresztą zamiarze przyspieszenia sprawy, nie zapytywał żadnego z powołanych czynników, nie zasięgnął zdania ani Uniwersytetów, ani Sądów, ani Izb adwokackich, nie czekał, aby powołane pióra uczonych opinię świata naukowego objawiły, lecz wystąpił wprost z projektem przed Izbę poselską z trzema grubemi księgami, mającemi na długie lata rozstrzygać o najważniejszych ekonomicznych interesach obywateli. Głosy uczonych w zbyt późnej zresztą porze się objawiające, które sprawozdanie komisyi starannie regestruje, nie mogą uchodzić za wyraz t. z. *communis opinio doctorum,* gdyż najpierw są bardzo nieliczne a w części dorywczo, i że tak powiemy, sprawozdawczo spisane, a następnie obok pochwał może nieco za wczesnych, zawierają poważne zarzuty (jak artykuły Truttera w Grünhuta *Zeitschr,* Kornfelda i Demeliusa) — skierowane szczególnie przeciw sankcyonowanemu w projekcie rozszerzeniu zasady działania z urzędu, tudzież urządzeniu protokołowania i toku instancyi.

W obec tego stanu rzeczy bardzo trudnem jest zadanie naszych posłów a wielką ich odpowiedzialność. Mamy jednakże przekonanie, że wszystkie czynniki decydujące spełnią swój obowiązek i jak z jednej strony nie dopuszczą, ażeby reforma tak pożądana a tak bliska urzeczywistnienia, znowu się odwlokła, tak z drugiej strony uchylą z niej wszystko, cokolwiekby się przedstawiało jako niebezpieczny, bo niewypróbowany eksperyment, choćby ono było następstwem pięknych i pięknemi teoryami uzasadnionych haseł.

SEJM.

Z mowy marszałka ks. Sanguszki, zamykającej sesyę sejmową, przytaczamy dziś według zapisek stenograficznych jeden ustęp, charakteryzujący działalność sejmu naszego w ciągu ostatnich 6-ciu lat. Marszałek rzekł:

Charakterystyka tej wys. Izby w jej obecnym składzie i jej działalności w ubiegłym sześcioleciu, zarysowała się już częściowo przy dyskusyi budżetowej. Jeżeli dawniejsze Sejmy zajmowały się więcej kwestyami zasadniczemi i politycznemi, jeżeli Sejm w kadencyi, która poprzedziła obecną, dziś się kończącą, był świetniejszy pod względem wymowy i wiele czasu łożył na ścieranie się stronnictw, to o Sejmie ostatniej kadencyi powiedzieć można, iż postępował jak dobry i zapobiegliwy gospodarz kraju. (brawa.)

Przez uchwalenie konwersyi, uporządkował znakomicie finanse kraju i podniósł jego kredyt na zewnątrz; zajmował się skrzętnie sprawami administracyjnemi i sprawami gospodarstwa krajowego na wszystkich polach.

Jak to już powiedziano w tej wys. Izbie, unikał roztropnie tego, co rozdziela a podnosił skwapliwie to co łączy. Starał się też bacznie usuwać i w Sejmie i w kraju to wszystko, co dać mogło powód słuszny do niezadowolenia, a czynił to nie dla tego, aby zaspokoić daleko dalej idące żądania, ale niejako dla zadośćuczynienia własnemu sumieniu, w mierze, którą uważał za słuszną.

Z tego usposobienia Sejmu wypłynęło przychylne, prawdziwą sympatyą nacechowane postępowanie Sejmu względem wielu postulatów ruskich, ztąd także polepszenie, ze znacznem obciążeniem krajowego funduszu połączone, bytu materyalnego nauczycieli ludowych, ztąd wreszcie uregulowanie ciężarów na utrzymanie i zakładanie szkół ludowych, przez które znaczna część ciężarów, dotąd przez gminy ponoszonych przesuniętą została na obszary dworskie i na kraj.

* * *

Wiedeńska *Presse* sejmowi naszemu poświęca następujące uwagi:

Tegoroczna sesya sejmowa była tak samo jak wszystkie poprzednie w ubiegłym okresie prawodawczym ze wszech miar błogą w dodatnie rezultaty. Rzut oka na ogrom takowej w ciągu ostatnich lat pracy przekonywa, że posłowie galicyjscy zasłużyli na najzupełniejsze uznanie. Charakterystycznem jest, iż Sejm galicyjski będący reprezentacyą, która z natury rzeczy ma do załatwienia najwięcej przedmiotów, mógł już w sobotę ukończyć swoją działalność, gdy tymczasem wiele innych ciał reprezentacyjnych pozostaje jeszcze w zaległości z najważniejszemi przedłożeniami. Przedewszystkiem w roku bieżącym osiągnięte zostały pod względem zgodnego współdziałania obu narodowości zamieszkujących ten kraj koronny na polu ekonomicznem i kulturnem, najpiękniejsze rezultaty. Ale bo też we Lwowie nie staczano bezowocnych i jałowych turniejów oratorskich ani też nie tracono czasu na małoduszne i bezcelowe waśnie partyjne. W interesie dobra publicznego, w interesie wytkniętych ze świadomością celów rezygnowano tam chętnie z tanich tryumfów, za jakimi ubiegają się gdzieindziej pewni bombastyczni retorycy. Kraj dobrze na tem wychodzi, iż nie objawiała się tam potrzeba sensacyjnych występów, a wszyscy przezorni i rozsądni ludzie wdzięczni są Sejmowi galicyjskiemu, iż umiał sumiennie spełnić swoje obowiązki i przyczynił się tem samem do rozwoju kraju. Sejm we Lwowie ukończył się w najpiękniejszej harmonii. Mówcy obu narodowości winszowali sobie nawzajem osiągniętych zdobyczy, wskazywali z naciskiem na wzajemne zbliżenie i jednomyślnie wypowiedzieli swoje gorące sympatye dla otoczonego czcią powszechną Namiestnika i dla Marszałka krajowego, który sprawował swój urząd z największą oględnością i bezstronnością.

Z pobytu w Australii.

II.

Pod względem inteligencyi i wykształcenia, panuje w Australii nigdzie nie spotykana równość. Niwelacyi tej dokonał tamtejszy system wychowania publicznego. Państwo nie poczuwa się do obowiązku dać swemu obywatelowi więcej, jak tylko elementarne wykształcenie szkoły ludowej. Widzieć szkoły australskie należy do przyjemności. Są one prowadzone wzorowo. W południowej Walii na 1,200.000 głów ludności, jest 2600 szkół, w których uczy się 300.000 dzieci. Na uwagę zasługuje piękny zwyczaj szkolny zwany „świętem drzew". Obchodzą go na początku zimy, t. j. w maju. Cała szkoła wychodzi wtedy z chorągwiami na miejsce wyznaczone przez radę gminną, a każdy z uczni zasadza własną ręką drzewko, którem następnie opiekuje się tak długo, póki drzewko nie wyrośnie. Zwyczaj ten ma na celu wszczepić w młodą generacyę zamiłowanie do drzew. Tylko szkoły ludowe są utrzymywane kosztem rządu. Co do szkół średnich, te są już czysto prywatne i w przeciwieństwie do szkół ludowych, które są dostępne dla wszystkich wyznań, dzielą się na szkoły dla katolików, ewangelików, purytanów, anabaptystów, metodystów i t. d. Nauka trwa bardzo krótko, gdyż Anglik nie ma czasu. Czternastoletni chłopiec wychodzi ze szkoły jako skończony człowiek i wstępuje do praktycznego zawodu. Resztę wykształcenia dopełnia autodydaktyzm, rozwinięty na szeroką skalę.

Ważną rolę grają tu też wieczorne prelekcye, na których wykładany bywa handel, miernictwo, architektura, rolnictwo, chemia i przemysł artystyczny. W każdem miasteczku jest bezpłatna publiczna biblioteka, w której pożycza się książki do domu. Najskuteczniejszym zaś środkiem dydaktycznym jest w Australii dziennikarstwo. Jest ono bardzo rozwinięte. Na 3½ miliona ludności, wychodzi 800 dzienników, to znaczy, że w tej samej proporcyi przypadałoby na Galicyę 1600. Ułatwienia zaś, jakie rząd robi dziennikarstwu, są tak wielkie, że nietylko stempla nie ma, ale nawet porto jest wolne. Dziennikarstwo australskie stoi na wysokości swojego zadania i jest nietylko potęgą, ale także dźwignią cywilizacyjną. Cechuje je wzajemna galanterya, która np. sprawia to, że wszelkie polemiki są zupełnie akademickie, gdyż zwyczaj nie pozwala na wymienianie nazwiska przeciwnika. Gazety są olbrzymie pod względem formatu, a taki np. *Sidney Herald* i *Daily News* obejmują po 16 do 20 stronic druku. Na dziennikarstwie robi się w Australii olbrzymie majątki. Bracia Ferfax właściciele *Sidney Heralda* mają po pół miliona rocznie dochodu. Dochód ten pochodzi w bardzo małej cząstce z prenumeraty, a głównie z rozwiniętego niesłychanie działu anonsowego, który obejmuje 16 kolumn druku, cztery tylko pozostawiając na tekst.

Przysłowie australskie powiada „rób pieniądze, abyś potem mógł żyć uczciwie". Tej też zasady, podkreślającej bez skrupułu, że przed „zrobieniem pieniędzy" można odłożyć na bok uczciwość, trzymają się wiernie Australczycy. Zdaje się jednak, że jakaś nemezis w oryginalny sposób mści się na nich w późniejszem życiu za to nieliczenie się z etyczną stroną środków, któremi idą do celu: oto nie wiedzą co robić z pieniędzmi. Np. bracia Ferfax, wspomniani powyżej redaktorowie *Sidney Heralda* całemi dniami siedzą w kościele, gdzie zajmują osobną ławeczkę z napisem „Ferfax" i na tem kończy się ich zajęcie. Mister Wiliam Barley przybył do kolonii australskich w r. 1854 podczas największej gorączki złota, jako młody chłopak i został rzeźnikiem. Legenda powiada nawet, że pierwszego barana, który padł pod jego nożem, ukradł. Po pięciu latach Barley był milionerem i prowadził szerokie operacye finansowe. Specyalnością jego było skupywanie ziemi, której cena stała ogromnie nisko. Dziś Barley posiada w 4 koloniach 94 majątków ziemskich, między któremi są wynoszące po kilkanaście mil kwadratowych, a w bankach sidneyskich ma 200,000.000 gotówką.

Otóż i na nim nemezis krezusów australijskich położyła swą rękę. Barley nie umie użyć pieniędzy. Jest kawalerem, mieszka w kuchence i nudzi się okropnie. Czasami z nudów każe łamać sztachety, otaczające dom, aby módz je potem naprawiać. Z nudów także sprowadził z Anglii dwóch siostrzeńców, którzy prawdopodobnie odziedziczą po nim majątek. Młodzieńcy ci na razie służą u swego wuja w charakterze parobków i bez żenady poganiają wołami. Pytano raz Barleya dlaczego, posiadając tyle pieniędzy, nie wybierze się kiedy do Anglii dla odwiedzenia stron rodzinnych. Odpowiedział, że boi się Anglii. Nie potrafiłby się obrócić wśród tych eleganckich salonowych ludzi. Jedyną ambicyą jego jest nie pozwolić się nikomu prześcignąć w robieniu pieniędzy. Barley słynie przytem jako nudziarz. Znają go z tej strony i każdy, o ile się da, schodzi mu z drogi. Pewnego razu przyszedł Barley do banku, w którym miał złożone znaczne kapitały. Dyrektor, zaalarmowany jego głosem, cofnął się do jakiegoś pokoiku i zamknął na klucz. „Czy jest dyrektor?" zapytuje Barley sekretarza. „Niestety, wyszedł przed dwoma godzinami." „Doprawdy? A to czyj kapelusz?" woła Barley z tryumfującą miną, spostrzegłszy dobrze sobie znany kapelusz dyrektora. „Mister, proszę nie myśleć, że nasz dyrektor nie może mieć dwóch kapeluszy" odpowiada zakłopotany sekretarz. Barley poczerwieniał. „Tak? — zawołał — więc ja, Barley, z moim milionowym dochodem posiadam jeden kapelusz, a dyrektor banku ma ich dwa. Tu się zanosi na coś złego. Cofam kapitały." W parę lat potem dyrektor banku został ministrem. Ale awantury z Barleyem nie zapomniano mu nigdy i odtąd we wszystkich pismach satyrycznych karykaturę jego rysowano z dwoma kapeluszami na głowie i podpisem *„man of two caps"* tj. człowiek o dwóch kapeluszach.

Nauka i literatura nie stworzyły w Australii nic samodzielnego. Istnieją cztery uniwersytety prywatne, bardzo bogate, uposażone milionowymi zapisami. Jest jeden jedyny poeta sir Henry Parks, który w początkach karyery był cieślą. Motywy do swoich dzieł poetycznych czerpie on przeważnie w romantycznych tradycyach z czasów pierwszych kopalń złota, kiedy rozboje były na porządku dziennym. Malarstwo jest także w pieluchach, gdyż przeciętny Australczyk nie robi zgoła żadnej różnicy pomiędzy oleodrukiem a płótnem znakomitego artysty. Architektura odznacza się brakiem gustu i czasami stwarza horrenda. Okropne jest szczególne przeładowywanie gmachów ornamentami. Muzyka, chociaż także nie stoi zbyt wysoko, przedstawia stosunkowo najlepszy bilans artystyczny. „Pierwszą melodyę, którą usłyszałem w Australii — opowiada prelegent — była... modlitwa Bondarzewskiej." Pod jednym tylko względem może się pochwalić miasto Sidney: posiada wspaniałe organy, sprowadzone z Anglii w r. 1879 jako w setną rocznicę założenia kolonii. Jest to prawdziwe arcydzieło i stanowi ono chlubę Sidneyczyków. Potęga niskich akordów jest prawie nie do uwierzenia, a piana brzmią tak cudownie, że zdaje się jak gdyby śpiewał chór aniołów. Dwa razy w tygodniu organista gra na tych organach. Sidney posiada siedm teatrów, ale żaden z nich nie jest stały. Aktorów mają teatra te bardzo utalentowanych; repertoar natomiast nie stoi w żadnym stosunku do wykonania. Australczycy są zresztą zapalonymi miłośnikami teatru, często sprowadzają głośnych artystów z Europy na gościnne występy i przyjmują ich z formalnym entuzyazmem, jak n. p. przed kilku laty Sarę Bernhard.

Nierównie jednak więcej interesu, aniżeli oryginalne zresztą i dzielne społeczeństwo angielskie, przedstawiają dla europejskiego turysty autochtoni australscy. Prof. Malsburg podczas swojego pobytu w Australii poznał się osobiście i żył w dobrych stosunkach z pewnym „królem" australskim. Król ten był nawet uznany przez Anglię i posiadał patent na swoją wysoką godność w formie tabliczki mosiężnej z napisem „King Will" t. j. król Wilhelm. Tabliczkę tę, wykrojoną w kształtach półksiężyca, nosił „król Wilhelm" na piersiach, jak straż policyjna we Lwowie. Był on naczelnym wodzem Trybusów i dopiero od 20 lat zaznajomił się z białymi. Dzięki jemu właśnie, zapoznał się prof. Malsburg bodaj częściowo z autochtonami australskimi, o których dotychczas tak mało wiemy. Najciekawszą rzeczą dla inteligentnego obserwatora jest budowa języka tych autochtonów. Na niej śledzić możemy dziś w 19 wieku ery chrześcijańskiej początki tworzenia się mowy ludzkiej, gdyż Trybusowie znajdują się obecnie w stadyum, w jakiem nasza rasa była przynajmniej przed dwiestu wiekami.

W języku ich nie ma wcale rzeczowników, a wszystkie pojęcia, na które my używamy rzeczowników, tam określane bywają przez wypowiedzenie kilku przymiotników razem. I tak *Ra tu* znaczy „mokry", *mu* „szeroki", a zatem *ra tu mu* znaczy „szerokie mokre", czyli „morze". Tak samo urabia się wyraz „krew". *Ra tu* „mokry", *ki* „czerwony", razem *ra tu ki* „mokre czerwone", czyli „krew". *Ra tu ra tu* oznacza coś bardzo mokrego, czyli „deszcz". *Wu* znaczy „jasny", *tu* „wysoki", *wu tu* znaczy „niebo", „dzień", albo „bóg". *Wu tu tu,* znaczy „bardzo wysokie", a zatem „słońce". *Wu* oprócz pojęcia jasności oznacza także „oko". „Moje oko" nazywa się *wu mi,* „twoje oko" *wu si.* W ogóle australczyk, mówiąc o jakiejkolwiek części ciała, zastrzega się z góry, do kogo ona należy. Mówi zatem „moja głowa", „twoja głowa", „jego głowa", nigdy samo „głowa". Jedno z przedmieść Sidneju nazywa się *Wu mu lu mu* (po angielsku pisze się przez osiem o: *Woo moo loo moo*) i oznacza „ziemia". Podobnie jak rzeczowniki, także zaimki u Trybusów są niekompletne. W liczbie pojedynczej mówi się „ja", „ty", „on", w liczbie mnogiej tylko „oni". Jeżeli zatem Trybus chce powiedzieć „my", to mówi „ja oni", jeżeli „wy" to „ty oni".

Na zakończenie opisał prelegent taniec wojenny Trybusów „koroborok". Taniec taki pozostawia niezatarte wrażenie na widzach. Odbywa się w jasną noc księżycową na polance leśnej. Tam zapalają Trybusowie olbrzymie ognisko, tak wielkie, że Europejczyk poparzyłby się w oddaleniu kilku metrów. W pewnym odstępie od ogniska zajmują miejsce kobiety, które w tej uroczystości pełnią funkcyę chóru i orkiestry. Instrumenta są drewniane. Śpiew przedstawia się bardzo pierwotnie. Jest to nic więcej, tylko rytmiczne powtarzanie jakiejś smutnej jednostajnej nuty. Po paru przygrywkach wypada z gąszczy gromada Trybusów, pomalowana białą farbą i otacza szerokim pierścieniem palące się ognisko. Zaczyna się szalony wir wojennego tańca, który trwa dopóty, dopóki ostatni tancerz omdlały, z pianą na ustach bezwładnie nie stoczy się na ziemię. W miarę jak słabsi tancerze padają pod nogi reszty towarzyszy, koło zacieśnia się i zbliża do ogniska. Trybusowie wyglądają wtedy jak furye. Wskutek szalonego wiru popadają w rodzaj szału i upojenia, które znieczula ich do tego stopnia, iż nie czują nawet ognistych języków, które już prawie dosięgają ich ciała. Wreszcie ostatni tancerz wyczerpany, z oczyma zaszłemi mgłą, zamyka szereg powalonych towarzyszy. „Koroborok" skończony.

KRONIKA.

Lwów 12 lutego.

Dar. Konwentowi SS. Urszulanek w Krakowie darował Cesarz 500 złr. na zakupno placu celem rozszerzenia ogrodu zakładowego.

Zatwierdzenie wyboru. Cesarz zatwierdził wybór Adolfa Byka na prezesa a Michała Kulaka na wiceprezesa brodzkiej izby handlowej.

Mianowania. P. Namiestnik zamianował Stanisława Głowaczewskiego i Wojciecha Zbarańskiego sekretarzami powiatowymi.

Starszy zarządzca salin w Stebniku Stanisław Rogoyski mianowany radzcą górniczym. — Sędziowie powiatowi Sofroniusz Folusiewicz z Dobromila i Marceli Tustanowski w Busku mianowani radzcami sądu krajowego z pozostawieniem na dotychczasowych stanowiskach. Sędziami powiatowymi mianowani: Bazyli Żanko ze Złoczowa do Zborowa, Maryan Mayer z Gródka do Birczy, Ludwik Eisel z Nadwórny do Grzymałowa. Sekretarzem Rady dla lwowskiego okręgu sądowego mianowany dr. Damian Sawczak.

Przeniesienia. P. Namiestnik przeniósł komisarza powiatowego Emila Mikołaja Czepielewskiego z Kossowa do Bóbrki, koncepistę Namiestnictwa Aleksandra Jana Swieykowskiego z Bóbrki do Kossowa, sekretarzy powiatowych: Gustawa Pospischila z Trembowli do Stryja, Stanisława Kolasińskiego z Mościsk do Mielca, oraz kancelistę Namiestnictwa Włodzimierza Żerebeckiego z Żywca do Białej.

Przeniesieni zostali sędziowie powiatowi: Sozomen Kowblański z Bolechowa do Łąki, Józef Sojka z Łąki do Bolechowa, Karol Podlaszecki z Birczy do Kamionki Strumiłowej, Julian Sielski z Grzymałowa do Sokala.

Konkursa. Rada szkolna okręgowa w Lisku rozpisała z terminem do końca lutego b. r. konkurs na kilkanaście posad nauczycielskich.

Upiększenie Lwowa. Zawiązane przed dwoma laty towarzystwo dla rozwoju i upiększenia Lwowa, postawiło sobie za cel ozdobić biustami a w miarę możności i pomnikami te punkta naszego miasta, które się do tego nadają. Na razie uchwalono postawić dwie grupy biustów: a mianowicie w pierwszej grupie biusty ks. Leona Sapiehy, arcybiskupa Głowińskiego, hr. Stanisława Skarbka i Jana Dobrzańskiego, w drugiej biusty J. N. Kamińskiego, Artura Grottgera, Wincentego Pola i Moniuszki. Z tych ośmiu biustów postawiono już dwa: Leona Sapiehy dłuta p. Barącza i ks. Głowińskiego dłuta p. Popiela łącznym kosztem 1288 złr. obydwa w ogrodzie jezuickim przed gmachem sejmowym, gdzie ustawiono już także piedestał pod trzeci biust: hr. Skarbka, który wykona bezinteresownie p. Marconi. Towarzystwo powzięło nadto zamiar wzniesienia pomników hr. Agenora Gołuchowskiego, Szopena i Ordona, bohatera poematu mickiewiczowskiego. Ten ostatni pomnik zobowiązał się wykonać bezinteresownie tylko za zwrotem kosztów p. Barącz. Koszta te, wyniosą 2.300 złr. Szczegółów tych dowiadujemy się z ogłoszonego drukiem sprawozdania za rok 1893-1894.

„Lisistrata" komedya Aristofanesa w przeróbce p. Stanisława Koźmiana, która w Krakowie graną była z powodzeniem kilka razy z rzędu a w prasie jak wiadomo wywołała ostrą polemikę literacką, zacznie się w tych dniach drukować w dodatku satyrycznego tygodnika *Zagłoba.* Wobec niepospolitego zainteresowania, jakie ten utwór grecki wywołał, publiczność niekrakowska będzie miała doskonałą sposobność zapoznać się z nim teraz w czytaniu.

Ze sztuki. Prócz obrazu Matejki „Śluby Jana Kazimierza." wystawiono wczoraj w naszym salonie trzy większych rozmiarów płótna: Jacka Malczewskiego „Kolędnicy," Hirschenberga „Konferencyjka," Rolletschka „Wydaleni"; nadto Dębickiego „Zachód słońca," Gostyńskiej „Biust p. J. Ł." i „Medalion p. J.," Jezierskiego „Nad kolebką," Damazego Kotowskiego „Miłość macierzyńska," Kruszewskiego „Krajobraz," Młodnickiej „Wspomnienie," Pająkówney „Przy pracy," „Bojko" i „Kwiaty," Reyznera „Portret p. M. K.," Sozańskiego „Lenartowicz" i Zubera „Ploteczki". Dział portretów wzbogacono portretem Wł. hr. Zamoyskiego, pędzla artysty Machniewicza.

Dwie uroczystości w zakładzie chyrowskim. Z Chyrowa piszą nam: Zakład wychowawczy OO. Jezuitów w naszem mieście istniejący, wierny swej zasadzie przechowywania poważnych dawnych tradycyj szkolnych, każdą uroczystość szkolną lub zakładową, święci obchodem, który na wrażliwe umysły młodzieży trwały wpływ wywiera. Tak i w ostatnich tygodniach mieliśmy w zakładzie dwie takie uroczystości, mianowicie zamknięcie roku szkolnego i popis publiczny, a w parę dni potem imieniny ks. rektora zakładu. Popis odbył się dnia 31 stycznia rano. Z uderzeniem godziny 9 cisza zaległa salę, weszli zebrani goście, rodzice wychowanków w towarzystwie nauczycieli i przełożonych. Rozpoczęła akt cały muzyka, przeplatana śpiewem i deklamacyami. Kiedy ucichły tony muzyki, powstał ksiądz prefekt i wśród ogólnej ciszy począł wedle klas odczytywać nazwiska uczniów z dobrym postępem. Uczniowie, którzy otrzymali postęp celujący (a dodajmy, że w żadnej klasie ich nie brakło) odbierali z rąk księdza rektora Zakładu odznaki honorowe.

Rzewny był to widok i pełny pociechy patrzeć na te twarze zadowolnionej dziatwy, na kolegów, winszujących swym dygnitarzom nagrody i uznania, rzewniejszy jeszcze, kiedy się widziało szczere rozczulenie i radość przełożonych i rodziców.

Nastąpiło przemówienie ks. rektora, w którem podnosząc z uznaniem pilność jednych klas—nie pominął słów zachęty i przestrogi dla tych, którzy niezupełnie odpowiedzieli wymaganiom Zakładu i nadziejom rodziców.

Jeszcze raz wystąpiła młodzież, by śpiewem zakończyć podniosłą uroczystość. Wśród dźwięków pięknej i ognistej melodyi, rozległy się słowa pieśni:

Nad Mazowsze, nad Kujawy
Polski Orzeł wzleciał wzwyż,
W jednym szponie szczerbiec krwawy,
W drugim szponie dźwiga krzyż...

I z niebiosów gromem spada
Na północny carów gród,
My żyjemy, wrogom biada!
Chrobry, polski żyje lud...

Przejdźmy do drugiej uroczystości. Chwalebnym zwyczajem obchodzi młodzież konwiktorska Zakładu wychowawczo-naukowego w Chyrowie uroczyście każdego roku imieniny swego prefekta, składając mu życzenia i hołd należny, pochodzący z głębokiego uczucia wdzięczności. Tak też i tego roku ułożyła młodzież konwiktorska pod dyrektywą swoich zacnych inicyatorów program tej uroczystości, obfity w produkcye, świadczące o wysokim stopniu jej inteligencyi i wykształcenia estetycznego. Żmudnej pracy zadała sobie w tym roku młodzież tutejsza, mianowicie przedstawiając arcytrudny dla sił amatorskich dramat historyczny Józefa Szujskiego „Jerzy Lubomirski".

W zupełności powiodło się amatorom pokonanie trudności w przedstawieniu tej w efekta sceniczne wcale nie obfitującej sztuki, gdy zwłaszcza role kobiece musiano pominąć. Mimo to przedstawienie wypadło ściśle wedle intencyi i założenia jego znakomitego autora, wywarło też jak najlepsze wrażenie na audytoryum Zakładu tutejszego i licznie z blizkich i dalszych stron przybyłych gości.

Amatorowie wyuczyli się wybornie swych ról i odegrali je bez zarzutu mianowicie należy z uznaniem podnieść znakomitą grę konwiktora Karola Skrowaczewskiego, który z trudnej roli tytułowej ku powszechnemu zadowoleniu się wywiązał, i nie mało dołożył pracy, by z odpowiednią akcyą wyuczyć się długich, wierszem pisanych dyalogów, gdy mimo to ani razu nie utknął, podobnie jak konwiktor Jan Mężnicki w roli króla Jana Kazimierza; Teofil Trzciński w roli kanclerza koronnego Biskupa łuckiego Mikołaja Prażmowskiego; Franciszek Piepelitzay w roli marszałka „Związku święconego" Stefana Świderskiego i Witold Sieber za wyborne wykonanie roli Biskupa kujawskiego Floryana Czartoryskiego zjednali sobie uznanie i zasłużony poklask.

Główną atoli zasługę w powodzeniu przedstawienia ponosi reżyser czcigodny ks. Romuald Kopans T. J., który w ten sposób przygotował godne uświetnienie imienia przezacnego Rektora.

Zakończenie dramatu stanowił żywy obraz, który uzmysławiał niejako główną myśl sztuki t. j. zażegnanie rokoszu przez pośrednictwo wiary, podówczas jeszcze w narodzie gorącej.

Nie mniej świetnie wypadła część muzykalna programu, mianowicie „Koncert Mendelsohna Gmoll," wykonany przez p. Stanisława Głowackiego (dawnego ucznia tutejszego Zakładu a obecnie słuchacza praw we Lwowie) z towarzyszeniem orkiestry, prawdziwie po mistrzowsku był odegrany. „Pieśń" Mendelsohna — duet na dwie trąbki z towarzyszeniem orkiestry wykonali z powodzeniem konwiktorzy Tadeusz Dąbski i Karol Lipiński; „Sonatę Schubertha D dur" solo skrzypcowe wykonał p. Braun (naczelnik sądu w Starejsoli) z towarzyszeniem fortepianu i grą, którą by i na estradzie w stolicy zachwycił słuchaczy, żywe oklaski sobie zjednał; zaś orkiestra konwiktorów od dawna słynie z precyzyi i werwy, umiejętnie kształcona przez jej długoletniego niestrudzonego kapelmistrza p. Knippla, tudzież nauczyciela muzyki p. Skibińskiego. Śpiew „Jak długo w sercu naszem, choć kropla polskiej krwi" (tekst O. Włodzimierza Piątkiewicza T. J., wykonany przez chór męski) — zaiste po polsku zakończył tę uroczystość, który nam dodaje otuchy, że młodzież Zakładu wychowawczo-naukowego w Chyrowie pod umiejętną ręką przewielebnych OO. Jezuitów wychowana w takich warunkach, z chlubą dla kościoła i Ojczyzny — a pożytkiem dla siebie i kraju pracować będzie!

Morderstwo popełniono wczoraj w kamienicy przy ulicy Ormiańskiej l. 17, a ofiarą jego padł pomocnik murarski Jan Gorczyński. W domu tym najął on piwnicę, w której przechowywał jabłka, w zimie bowiem, gdy nie miał roboty przy murarce, prowadził handel jabłkami, chcąc w ten sposób powiększyć swe dochody. Wczoraj wieczorem koło godziny 7-mej wszedł do piwnicy stróż domu Miklusz, aby przynieść drzewa. Wszedłszy tam usłyszał jęki wydobywające się z piwnicy, którą zajmował Gorczyński. Myśląc, że „sadownik", jak powszechnie Gorczyńskiego nazywano, zachorował, chciał pospieszyć mu z pomocą, ale drzwi były zamknięte z zewnątrz na kłódkę. Gdy na pukanie do drzwi nikt nie odpowiadał, Miklusz wezwał pogotowie ratunkowe; po jego przybyciu przemocą wywalono drzwi piwnicy, a wszedłszy tam, znaleziono Gorczyńskiego leżącego na jabłkach w kałuży krwi, obróconego twarzą do ziemi, zupełnie nieprzytomnego. Lekarze pogotowia nie mogli silnie pokaleczonego Gorczyńskiego przyprowadzić do przytomności, — nieprzytomnego przeto odwieziono go do szpitala. Wytoczone przez policyę śledztwo, wpadło już na trop morderców. Swiadkowie, mieszkańcy domu, w którym popełniono morderstwo, zeznali, iż w ostatnich dniach przychodził do Gorczyńskiego bardzo często jego znajomy niejaki Michał, (nazwisko dotąd nieznane), który proponował mu współkę. Gorczyński propozycyę tę odrzucił tembardziej, że ów Michał nie miał żadnego funduszu i ofiarowywał tylko pracę. Odtąd ilekroć ów Michał pojawił się w piwnicy, zawsze wybuchała sprzeczka między nim a Gorczyńskim, a w sprzeczce tej po stronie Michała stawał także 16-letni chłopak z Jaryczowa, którego Gorczyński najął sobie do pomocy. Miklusz słyszał wczoraj koło godziny 4-tej, jak wszyscy trzej w piwnicy z sobą się kłócili i zapewne ów Michał przy pomocy chłopaka tak pobił Gorczyńskiego, iż stan jego jest bez nadziei. Gorczyński pochodził z Nowego Jaryczowa i liczył lat 31.

Z Krakowa nam piszą: Sprawa wydalenia radzcy Turnaua nie została ostatecznie jeszcze załatwioną. P. Turnau wniósł bowiem 29 stycznia rekurs do Wydziału krajowego przeciw wydalającej go uchwale krakowskiego magistratu z dnia 3 stycznia 1895. Poprzednią w tej sprawie naszą korespondencyę opartą na innych dziennikach prostujemy o tyle, że p. Janusz Niedziałkowski, dyrektor urzędu budowniczego, nie został wydalony, lecz przeniesiony w stan spoczynku z powodu nadwątlonego zdrowia.

Katastrofa na morzu. Szpalty dzienników niemieckich przepełniają ciągle szczegóły o zatonięciu

Elby. Poniżej przytaczamy list jednego z uratowanych pasażerów, pisany do rodziny, kreślący obrazowo przebieg katastrofy. Autorem tego listu jest niejaki Eugeniusz Schegel z Fürth w Bawaryi, udający się z siostrą swą do Ameryki. Zdołał on się ocalić i dopłynąć do Lowestoft, ale niestety w kilka dni po ocaleniu się od zatonięcia zmarł w Lowestoft wskutek wycieńczenia. List brzmi jak następuje:

„Całe nieszczęście spowodował angielski parowiec rybacki. We środę zrana, o godzinie 5 m. 30, wśród gęstej mgły zbudziło nas ze snu straszne uderzenie: zaledwie zdążyłem wzuć buty, gdy woda już ze wszystkich stron zaczęła się lać do kajuty, obok której okręt nasz został przebity. Niepojętym sposobem parowiec przeciwny, zamiast ratować, spiesznie się oddalił. Jeszcze pozostało mi tyle czasu, że zdołałem się ubrać; udałem się spiesznie do kajuty mej Emmy, ale jej już nie zastałem. Znalazłem ją następnie na pokładzie, ubraną w jedną spódnicę. Biegałem tu i tam a nigdzie nie widziałem spuszczonych łodzi. Wreszcie odzywają się głosy kobiet i dzieci po stronie pomostu komendanta. Wysłałem tam i moją Emmę. Czas jednak był największy myśleć i o sobie. Właśnie chciałem skoczyć do łodzi spuszczonej, gdy powrozy podtrzymujące ją pękły i łódź pogrążyła się wraz z osobami w niej siedzącemi w falach. Skoczyłem do drugiej łodzi, tuż obok spuszczonej i takim sposobem ocalałem. Pierwsza łódź przeznaczona była dla kobiet, druga zatonęła, w trzeciej sam się umieściłem. Dalszych łodzi już nie zdołano spuścić. Zaledwo odbiliśmy od statku, patrząc na setki pasażerów, pozostających na pokładzie, gdy parowiec zatonął, a o mało i łodzi naszej nie pociągnął w przepaść wiru. Nadludzkim tylko wysiłkiem uniknęliśmy wiru, ratując jeszcze kobietę jakąś, bezprzytomną, pływającą po falach. Strasznie wysokie były fale, częstokroć łódź nasza napełniała się wodą. Sam czerpałem i wylewałem wodę, póki mi sił starczyło. Po długich, strasznych sześciu godzinach, wreszcie zmiłował się nad nami jakiś żaglowiec i przygarnął nas w odległości 45 mil od Lowestoft. Była to jazda, którą przez całe życie będę pamiętał. Do połowy zmarzli, przemoczeni do szpiku kości, z powodu łykania częstego wody morskiej zdjęci mdłościami, przybyliśmy o godzinie 7 minut 40 wieczorem do Lowestoft, gdzie otrzymaliśmy inne ubrania. Uratowaliśmy jedynie życie.

Slub. W Korniczu w pow. kołomyjskim odbędzie się 13 lutego o godzinie 12 w południe ślub panny Eugenii Krzysztofowiczówny z dr. Władysławem Tatarczuchem we Lwowie.

Kradzież. Wczoraj o godzinie 8 wieczorem jacyś złodzieje włamali się do mieszkania budowniczego p. Ignacego Winiarza przy ulicy Kopernika l. 29 i zabrali z mieszkania rzeczy wartości przeszło 100 zł. Złodzieje usiłowali także włamać się do sąsiedniego mieszkania kapitana Wojciecha Dobiji, zdołali jednak tylko odbić kłódkę przy drzwiach pierwszych, drugich zaś nie otworzyli, bo spłoszeni widocznie przez domowników, uciekli. Uciekając, pozostawili na kurytarzu pilniki, witrychy i inne narzędzia.

Nieszczęśliwy wypadek zdarzył się wczoraj przy ulicy Supińskiego. Na rogu ulic Supińskiego i Długosza znajduje się plac budowlany, którego splantowania podjął się niejaki Izrael Tannenbaum. Najął on 5 robotników i polecił im kopanie ziemi. Robota odbywała się bez wszelkiego fachowego dozoru. Wskutek tego wczoraj rano oberwała się olbrzymia bryła zamarzniętej ziemi i zasypała dwóch robotników. Jednego z nich zdołano wydobyć z pod ziemi, silnie potłuczonego, drugi zginął na miejscu, gdyż spadająca ziemia strzaskała mu czaszkę.

Interview. Znana zaszczytnie wielkopolska autorka, pisująca pod literami M. F. S. wydała świeżo pod powyższym tytułem w osobnej odbitce ulotny wiersz, będący właściwie trafną satyrą na skwapliwych na wszelkie nowinki reporterów. Z wiersza tego, pełnego humoru i ciętej choć nieraz dotkliwej prawdy, wyjmujemy następujący ustęp w przekonaniu, że przytoczenie go, zwłaszcza w obecnej chwili będzie bardzo na czasie:

Pozostaje nam teraz jedna polityka,
Co na żadne przeszkody zasad nie spotyka:

. . . .

....Nauczmy się sztuki mądrego milczenia!...
Nie wysuszać swych uczuć z trybun parlamentu,
Nie wylewać na papier morza atramentu,
Język przykuć do zębów, z ust nie puszczać pary:
Oto, jakiej dziś Polska chce po nas ofiary!

Prezydent Faure miał w tych dniach oryginalne zdarzenie. Oto wyszedłszy po południu na spacer do swojego wspaniałego parku tak zamyślił się, iż gdy przypomniał sobie o powrocie było już po 7 wieczorem. O godzinie 7 zaś rozstawiają około pałacu nocne straże, pilnujące nawet przejść z ogrodu do samego gmachu i mające bardzo surowe instrukcye. Faure zbliżył się do wrót; żołnierz zatrzymuje go i pyta o hasło tego dnia. Prezydent powiada, że hasła nie zna, ale jest prezydentem rzeczypospolitej i chce dostać się do swojego mieszkania. Żołnierz, który nie znał i nie ma obowiązku znać prezydenta, tylko swoje hasło, nie przepuścił go, lecz z bronią w ręku odprowadził go do posterunku, zkąd sierżant eskortował go znów do oficera dyżurnego. Ten dopiero uznał w eskortowanym prezydenta i z należnymi honorami przepuścił go do pałacu. Faure przyszedłszy do swojego gabinetu, natychmiast wysłał adjutanta z poleceniem udzielenia pochwały i powinszowania placówce takiej skrupulatności. Nazwisko żołnierza: Menaud, z 82 pułku piechoty.

Przytułek dla podupadłych obywatelek ziemskich. W Warszawie odbył się tymi dniami akt poświęcenia przytułku, noszącego powyższy tytuł. Założyła ten przytułek p. Seweryna z Pstrokowskich Tymowska. Przytułek składa się z czterech pokoi, pasażu i kuchni. Trzy pokoje zajęte są na sypialnie, czwarty zaś ma służyć za salonik, w którym znajdujące się w przytułku panie będą się gromadziły na wspólną gawędkę, obiad, czytanie pism itp. W pasażu urządzono umywalnię. Początkowo przytułek jest w stanie pomieścić dziewięć osób. Instytucya ta jest przeznaczona dla dwóch kategoryi pensyonarek: jedne będą płaciły po dziesięć rubli miesięcznie, drugie zaś mieścić się będą zupełnie bezpłatnie. Na początek fundusze przytułku unormowano w sposób następujący: szlachetna inicyatorka p. Tymowska zobowiązała się płacić przez pierwsze trzy lata po 1000 rubli, brat inicyatorki p. Ignacy Pstrokoński, pospieszył z takąż ofiarą, wreszcie kółko znajomych inicyatorki zaofiarowało również taką sumę przez pierwsze trzy lata. Tym sposobem fundusz roczny przytułku w pierwszych trzech latach wyniesie 3000 rubli rocznie. W dalszym ciągu założycielka ma słuszną nadzieję, że środki przytułku znacznie wzrosną bądź przez zapisy prywatne, bądź z dochodu z koncertów, rautów itp. Przytułek pozostaje pod zwierzchnictwem warszawskiego Towarzystwa dobroczynności.

Z San Remo piszą pod datą 3 b. m.: „Obecnie mamy tu *haute saison*: hotele wszystkie prawie przepełnione, wille co do jednej zajęte. W willach przeważnie mieszkają Anglicy, którzy na początku zimy uciekają przed mgłą londyńską. Tegoroczna pogoda płata nam figle nader nieprzyjemne. O ile grudzień był piękny, wiosenny, o tyle styczeń kaprysi i kaprysi; z małemi wyjątkami przez cały miesiąc mieliśmy słotę i błoto. Pocieszamy się tem, że za górami śniegi padają, gdy my mokniemy tylko na deszczu. Zresztą i śnieg widzieliśmy. Po kilku dniach dotkliwego, jak na San Remo, zimna, (termometr spadał nocami do zera) w dniu 31-ym zeszłego miesiąca zaczął pruszyć śnieg i pruszył już sobie przez cały dzień następny. Biały całun pokrył ziemię, a miejscami dochodził do pół łokcia grubości. Jeszcze dziś leży śnieg na polach i łąkach okolicznych. Dziwne sprawia wrażenie widok róży kwitnącej na śniegu, palmy lub kaktusu, zakopanego w śniegu, lub też pomarańczy i cytryn, zamienionych w kule śnieżne. Oczywiście wobec takich warunków atmosferycznych każdy najchętniej przesiaduje w domu. Niestety, jedyną rozrywką jest tu spacer, to też wszyscy uskarżamy się na wybryki aury. Życie jest tu bardzo drogie; najtańsza „pensya“, bez wina, obowiązkowego prawie wszędzie, i bez mleka, niezbędnego dla każdego chorego, kosztuje dziennie 8 fr., a z winem i mlekiem cena i 12 fr. dochodzi. Tem niecierpliwiej oczekujemy słońca i ciepła, że mieszkamy w pokojach bez pieców, źle od zimna zaopatrzonych. Ale i w pogodę nie ma chyba monotonniejszego i nudniejszego zakątka, jak nasze. W San Remo nie ma komitetu kuracyjnego, któryby zajął się uprzyjemnieniem pobytu przybyszom. Trzy razy tygodniowo, od godz. 2½—4 po południu, odbywają się koncerty orkiestry miejskiej. Kurhauzu, miejsc spacerowych San Remo nie zna, ucieka więc, kto może, do pobliskiej Mentony, Monte Carlo i t. p. Chory często zaziębia się podczas tych przejażdżek, a wówczas cała kuracya idzie na marne. Mówią, że w braku rozrywek San Remo z każdym rokiem upada (w tym roku tego nie znać), krzątają się też rajcowie miejscy około wybudowania kurhauzu, ale kiedy to będzie— nie wiadomo.

Stan powietrza. T. o 8 rano —1° R. w poł. + 3° R. Bar. 750. Spada. Odwilż.

Nieporozumienie.

Przy kolacyi siedzą obok siebie: taki pan, co pije jak gąbka, i taki pan, co nic nie pije.

Taki pan, co nie pije: Patrzę na pana, patrzę i z podziwu wyjść nie mogę!

Taki pan, co pije: Dla czego?

— Sam pan wypiłeś całą butelkę wina?

— Cóż w tem dziwnego? Wypiłem całą butelkę, ale tylko dla tego...

— Że?

— ...Że przedemną stała tylko jedna butelka. Inaczej wypiłbym więcej...

Teatr. Dziś we wtorek i jutro we środę „Walka motyli“, komedya w 4 aktach Sudermana. We czwartek „Łucya z Lamermoru“, wielka opera w 4 aktach Donizetti'ego. W piątek „Madame Sans-Géne“.

Literatura i Sztuka.

* **Teatr.** W sobotnim numerze *Przeglądu* zamieściliśmy obszerny fejleton o Sudermana „Walce motyli“, 4-aktowej komedyi, przedstawionej wczoraj na scenie teatru lwowskiego po raz pierwszy. Treść tej sztuki, również jak i wytyczną jej tendencyę, podaje sobotni fejleton *Przeglądu* — dla dzisiejszego sprawozdawcy pozostaje już nie wiele.

Suderman nie patrzy się na świat i ludzi przez różowe okulary, a stosunki społeczeństwa pruskiego, odskakującego pod względem etycznym od rdzennych Niemców, dla autorskiego pessymizmu szerokie pozostawiają pole, z którego talent Sudermana obfite zbiera plony.

W państwie „dobrych obyczajów i bojaźni Bożej“ — więcej się znajduje materyału dla realistycznego kierunku, aniżeli tam, gdzie przez usta cierpiących społeczeństw wybiega skarga do Boga i... modlitwa.

W „Walce motyli“ przedstawia autor średnią klasę, mieszczańską, na bruku berlińskim w tak ciemnych barwach, tak z gruntu zepsutą, że nawet to, co jest jeszcze niewinne, swoją głupotą i naiwnością przyczynia się do sukcesów złego. Atmosfera w tej „Walce motyli“, jest taka, że gdyby w nią z góry, z nieba, anioł sfrunął na skrzydłach czystej wiary i miłości, to ludzie połamaliby mu skrzydła i zrobiliby z niego narzędzie do swoich brudnych celów. Charakterystyczny szczegół uderza w tej sztuce — autor, jakby umyślnie, unika czystych i uczciwych ludzi, jako charakterów. W sztuce naprzykład wczorajszej, jest tylko jedna, jedyna postać młodego człowieka Maksa, postać szlachetna, którą autor tak usuwa na drugi plan, tak ją trzyma z daleka, w cieniu, że bierność tego Maksa robi go, po prostu, niedołęgą. Druga jaśniejsza postać, główna w sztuce — Róża, naiwność, aranżująca schadzki miłosne i pomagająca siostrze do występnych romansów — pomijając zbytnie naciągnięcie psychologiczne — jest to ów anioł, sam niewinny, ale w złych czynach drugich biorący udział...

Niepowodzenie tej komedyi w teatrze berlińskim chyba tem się tłómaczy, że autor pokazał Berlińczykom ze sceny lustro, bo sztuka, mimo pewnej rozwlekłości akcyi i za długich scen, napisana z dużym talentem i z głęboką bystrością społecznego myśliciela.

„Walka motyli“ wymaga doskonałej gry aktorskiej, czego podobno w Berlinie nie było i to z powodu tendencyjnie dokonanej złej obsady bez udziału autora, który mieszka teraz w Dreźnie. U nas, bez żadnego samochwalstwa, „Walka motyli“ była odegrana tak doskonale, że już dawno nie pamiętamy takiej wybornej całości gry i harmonii artystycznej w grze.

Typ komiwojażera, prawdziwy typ dzisiejszy, z bruku wielkiego miasta, uchwycił p. Woleński w lot i nadał całej postaci i całej grze ton uderzającej prawdy w ogólnym rysunku i w najmniejszych szczegółach. Pan Fiszer starego wygę handlarza, sknerę i niegodziwca odegrał z prawdziwym talentem artysty, którego subtelność gry jest zawsze godna podziwu. Z ról kobiecych największą rolę i bardzo trudną miała p. Czaplińska — rolę Róży, owej naiwnej komisyonerki. Rola ta w repertuarze p. Czaplińskiej będzie należeć do najlepszych. Małą rolę Laury, mimo ogólnikowego rysunku autorskiego odegrała p. Stachowiczowa z uderzającą precyzyą artystyczną — to samo należy powiedzieć o pani Cichockiej w roli matki. Inne role mniejsze, z niezwykłą starannością grali pp. Walewski, Wysocki i Kliszewski. *Iks Ypsylon.*

Część ekonomiczna.

§ **Sprawozdanie** złożone członkom „Spółki naftowej polskiej Zdzisław Obertyński, Stanisław Matkowski, Trzecieski, Gostkowski i Spółka we Lwowie“ przez Zarząd tej Spółki z czynności za czas do dnia 9 lutego 1893.

P. T. Ponieważ czynności nasze, zdążające do ukonstytuowania i zorganizowania naszej Spółki zbliżają się ku końcowi, przeto uważamy sobie za obowiązek zdać sprawę wszystkim członkom, a szczególnie nowo wstępującym z tego, co dotychczas zdziałaliśmy i w przyszłości dla osiągnięcia celów naszej Spółki przeprowadzić zamierzamy.

A) Organizacya Spółki. Spółka naftowa polska zawiązana została na podstawie kontraktu Spółki na dniu 12 grudnia 1894 w formie spółki komandytowej w celu eksploatacyi terenów naftowych w Galicyi. Członkowie Spółki dzielą się na dwie kategorye, a mianowicie:

a) Pp. Zdzisław Obertyński, Stanisław Matkowski, Adam Trzecieski i Alfons Gostkowski są członkami osobiście odpowiedzialnymi, t. j. takimi, którzy za zobowiązania Spółki ręczą w obec osób trzecich nietylko swoimi udziałami, ale nadto całym swoim majątkiem.

b) Reszta członków należy do kategoryi t. z. komandytystów, t. j. takich, którzy nabyli karty udziałowe po 500 zł. i za zobowiązania Spółki nie odpowiadają niczem więcej, jak tylko kwotą przez nich już rzeczywiście wpłaconą. Udziały ich wynoszą kwotę 52.000 zł. Rozumie się samo przez się, że mają oni udział we wszystkich zyskach Spółki, na wszystkich terenach przez Spółkę eksploatowanych i we wszystkich interesach przez Spółkę naftową polską zawieranych.

Zdaje nam się, że zbytecznem byłoby motywować, że forma przez nas Spółce nadana, to jest Spółki komandytowej, jest jedynie racyonalną i dla interesów tego rodzaju wskazaną. Gdy bowiem w spółkach zwykłych każdy członek przystępując z udziałem przyjmuje na siebie odpowiedzialność, cyfrowo oznaczyć się nawet nie dającą, za wszelkie późniejsze bez wiedzy jego na spółkę przyjęte zobowiązania, to w spółce naszej ewentualność taka jest wykluczona, gdyż odpowiedzialność taka spada jedynie na członków osobiście odpowiedzialnych. Komandytyści zaś nigdy, pod żadnym pozorem, do żadnych dopłat pociągani być nie mogą, jak to w innych spółkach niestety zbyt często już się trafiało. Członkowie osobiście odpowiedzialni prowadzą obecnie wspólnie cały zarząd finansowy i techniczny — a prowadzą go bezpłatnie. Dopiero od chwili, gdy bilans i roczne zamknięcie rachunków wykażą czysty zysk, gdy w następstwie członkom naszym dywidenda wypłacona zostanie, wtedy dopiero i członkowie osobiście odpowiedzialni wszyscy razem pobierać będą 25 procent z czystych zysków Spółki. Natomiast nie mamy żadnych płatnych dyrektorów, ani dyrygentów technicznych, których wysokie pensye i dyety obciążałyby nasz budżet od pierwszej chwili zawiązania Spółki, chociażby nawet bilanse Spółki czystych zysków nie wykazywały. Wykluczono zatem zupełnie możliwość, by dochody Spółki pokrywały znaczne pensye dyrektorskie i podatki, a na oprocentowanie udziałów członków naszych żadne fundusze się nie zostały.

Zarząd Spółki stanowią wszyscy spólnicy osobiście odpowiedzialni, a podzielili się oni pracą w ten sposób, że pp. Zdzisław Obertyński jako przewodniczący i Stanisław Matkowski jako jego zastępca sprawują zarząd i administracyę finansową i kasową Spółki, i wszystko, co z tem zostaje w związku, zaś pp. Adam Trzecieski i Alfons Gostkowski zarząd techniczny i naftowo-fachowy i wewnętrzną administracyę kopalń.

B) Eksploatacya terenów. Uchwały co do kupna terenów i eksploatacyi takowych i zobowiązań wobec osób trzecich, mogą być powzięte tylko za wspólnem porozumieniem wszystkich członków osobiście odpowiedzialnych. Przy eksploatacyi terenów kierujemy się tą samą myślą, która kierowała nami gdyśmy wyznaczyli dywidendę dla kierownictwa dopiero wówczas, kiedy i członkowie nasi od swoich udziałów dywidendę otrzymają, przez co usunęliśmy obawę, ażeby w razie chociażby chwilowego tylko niepowodzenia, pensye i dyety dyrektorów wyczerpały lub znacznie zmniejszyły nas kapitał. Nie chcąc mianowicie uszczuplać naszego kapitału obrotowego na sprawianie maszyn, by nie zmniejszyć szans, jakie dla naszych członków z prędszego obrotu i większej siły finansowej naszej Spółki wyniknąć muszą, przyjęliśmy system oddawania robót wiertniczych w akord i roboty te są obecnie w pełnym toku. Obecnie posiada Spółka tereny własne w Schodnicy i w Tyrawie solnej, w Kobylance i w Krygu. Nabyliśmy te tereny przed rozpisaniem subskrypcyi na udziały, ażeby wszyscy chcący je nabyć wiedzieli, jakie mamy tereny, jakie te tereny przedstawiają szanse, i wyrobili sobie zdanie, — czy istnieją realne podstawy do otwarcia tej subskrypcyi.

a) W Schodnicy powiat Drohobycz nabyliśmy dwa kompleksy terenów. Na jednym z nich „Marya“, oddaliśmy wiercenie w akord p. Ludwikowi Zdanowiczowi, który rozpoczął wiercenie na razie jednym rygiem. W dniu 17. grudnia 1894 szyb ten dosięgnął głębokości 210 m. Drugi ten teren „Pluter“ będzie eksploatowany w późniejszych miesiącach.

b) W Tyrawie solnej powiat Sanok, mamy dwa kompleksy terenów. Na jednym z nich „Stanisław“ oddano wiercenie w akord p. Karolowi Rogawskiemu, który rozpoczął wiercenie jednym rygiem. Na drugim terenie „Teodora“ (obszaru około 300 morgów) oddano wiercenie w akord p. Władysławowi Straszewskiemu, a roboty jego także są już w toku.

c) W Kobylance powiat Gorlice, nabyliśmy od p. Tomasza Łaszcza na własność połowę jego kopalni „Zdzisław“, będącą już w eksploatacyi, której drugą połowę zatrzymał sobie p. Tomasz Łaszcz. W kopalni tej mamy jeden szyb już gotowy głębokości 532 m., który pogłębimy do 540 m. poczem zaraz będzie on pompowany. Z tego szybu uzyskaliśmy za ropę, złapaną tylko, bez pompowania, 705 złr. Drugi szyb wierci w akordzie p. Tomasz Łaszcz i dosięgnął już głębokości 305 m.

d) W Krygu, powiat Gorlicki, nabyliśmy od p. Tomasza Łaszcza połowę kopalni „Helena“ w sąsiedztwie jednej z najlepszej kopalń galicyjskich i również w najbliższej przyszłości rozpoczniemy tam eksploatacyę.

C) Fundusze Spółki. Jednogłośną uchwałą wszystkich spólników upoważnieni zostaliśmy do rozpisania subskrypcyi za udziały w sumie 200.000 zł. Zbytecznem byłoby podnosić korzyści, jakie nabycie takiego udziału za sobą pociąga. Gdy bowiem dotychczas wszelkie przedsiębiorstwa naftowe sprzedawały udziały 1% w jednym tylko szybie po 300—400 złr. i kwota ta przepadała bezpowrotnie, jeżeli szyb okazał się pustym — tak, że tego rodzaju interes, chyba tylko z loteryą da się porównać, to każdy przystępujący z kwotą 500 złr. do naszej Spółki nabywa temsamem prawa do udziału w zyskach ze wszystkich naszych kopalń i we wszystkich naszych szybach.

Subskrypcya przez nas rozpisana jest w pełnym toku. Do dnia dzisiejszego subskrybowano 363 udziałów za kwotę 181.500 złr. Subskrybować można zarówno w naszem biórze (we Lwowie ul. Sykstuska l. 38) jakoteż w banku krajowym. Bankierem naszym, u którego skoncentrowaliśmy cały ruch pieniężny, dokąd skierowane będą także wszelkie wpływy za uzyskaną ropę, jest bank krajowy we Lwowie. Kasa tego banku wypłacać będzie z końcem roku obrotowego naszym członkom oznaczoną bilansem dywidendę, która da Bóg, będzie jak największą.

We Lwowie dnia 8. lutego 1895.

Spółka naftowa polska. Zdzisław Obertyński, Stanisław Matkowski, Adam Trzecieski, Alfons Gostkowski.

Telegramy „Przeglądu“.

Praga 12 lutego. Sejm czeski jednogłośnie przyjął sprawozdanie komisyi o wniosku dra Russa, żądającym uzupełnienia sieci kolei państwowych, prowadzących z Czech do Tryestu.

Arco 12 lutego. Stan zdrowia arcyksięcia Albrechta jest zadowalniający. Wczoraj wstał chory na kilka godzin z łóżka. Do łoża chorego przybył wczoraj arcyksiążę Fryderyk z żoną, a w nocy przybyła córka arcyksięcia Albrechta, księżna wirtemberska Marya Teresa. Przybył także z Wiednia profesor Wiederhofer.

Petersburg 12 lutego. *Nowosti* ogłaszają uwagi godny artykuł, w którym podnoszą, że dotychczas przypisywano cesarzowi niemieckiemu wojownicze zamiary, wszelako z każdym nowym rokiem panowania tego monarchy utwierdza się przekonanie, że pragnie on szczerze pokoju. Pokojową była polityka zagraniczna Capriviego, a tak samo pokojową jest polityka ks. Hohenlohego. W dalszym ciągu dowodzi to pismo, że obecny pokój międzynarodowy jest zanadto kosztowny i życzyćby należało, ażeby zmniejszono ofiary wojenne, wtedy dopiero będzie można mówić na seryo o wspólnej pracy ludów europejskich.

W tutejszych sferach kompetentnych utrzymują, że w sprawie nominacyi następcy Giersa nie zapadła jeszcze żadna decyzya. Jako prawdopodobnych kandydatów wymieniają wciąż jeszcze Staala, Nielidowa i ks. Łobanowa.

Wiedeń 12 lutego. Dziennik rozporządzeń wojskowych ogłasza, że Cesarz przeniósł jenerała dywizyi Löhneysena, komendanta lwowskiej dywizyi kawaleryi, na własną jego prośbę w stan spoczynku i przy tej sposobności nadał mu krzyż komandorski orderu Leopolda, a w drodze najwyższej łaski wyjątkowo także charakter jenerała kawaleryi *ad honores*. Jenerał dywizyi hr. Schulenburg zamianowany został zastępcą komendanta 11 korpusu i komenderującego jenerała we Lwowie, jenerał brygady Schmedes komendantem 33 dywizyi piechoty, a jenerał brygady br. Mertens komendantem dywizyi kawaleryi we Lwowie.

Zadar 12 lutego. W sejmie dalmatyńskim postawił p. Trigari wniosek, ażeby sejm wyraził swe oburzenie z powodu niegodnego zajścia w gimnazyum w Spalato, gdzie we wszystkich klasach niewiadomi sprawcy poniszczyli portrety Cesarza. Reprezentant rządu wyraził głębokie ubolewanie z powodu tego zajścia, oświadczając zarazem, że ma to przekonanie, iż cała ludność Dalmacyi, która zawsze odznaczała się lojalnością i wiernem przywiązaniem dla Cesarza, potępi ten nikczemny czyn. P. Klaic postawił dodatkowy wniosek, ażeby sejm czynem udowodnił swą lojalność i w tym celu polecił Wydziałowi krajowemu wypracować projekt godnego uczczenia jubileuszu 50-letnich rządów Cesarza.

Sejm przyjął jednogłośnie wnioski Trigariego i Klaica.

Berno 12 lutego. Wczoraj zamknięto sesyę sejmu morawskiego. Namiestnik w końcowej swej mowie zwrócił się do Czechów i rzekł, że aby się nie oddawać żadnym złudzeniom politycznym, należy zastanowić się nad stosunkami jasno i gruntownie, a jeżeli to wszyscy uczynią, wtedy można żywić nadzieję lepszej przyszłości.

Nowy York 12 lutego. Parowiec „Gascogne,“ o którym utrzymywano, że zatonął wraz z wszystkimi pasażerami, przybył dziś do Fireislandu. Popsuł mu się tylko ster, a zresztą wszyscy podróżni i ludzie z załogi są zdrowi.

HOTEL IMPERIAL.
KRZYSZTOF JANOWICZ
Lwów — ul. Trzeciego Maja l. 3.

Przyjechali dnia 11 lutego. O. D. hr. Borkowska z Ponikwy. J. K. hr. Tarnowski z Żółkwi. L. hr. Starzeński z Podkamienia. W. hr. Reyowa z Psar. W. Gniewosz z Potoku Złotego. A. Krzysztofowicz z Kornicza. S. Kaczyński z Wańkowa. L. Hanin z Wróblik. G. Ziembicki z Malczyc. J. Czerny z Pragi. F. Balcar z Pragi. A. hr. Mniszek z Makuniowa.

HOTEL EUROPEJSKI.
ALBERT SZKOWRON i Spółka.
Lwów — Plac Maryacki.

Przyjechali dnia 11 lutego. P. Śmiałowski z Stojan. S. Janko z Hoszan. J. Wyszczański z Królestwa. S. Jasiński z Perepowa. H. Gansl z Wiednia. S. Sachs z Wiednia.

Nadesłane.

Rubryka ta nie pochodzi od Redakcyi, nie bierze też ona za nią na siebie żadnej odpowiedzialności.

Lwów dnia 12 lutego (Z Izby handlowej).

Akcye za sztukę: Kolej gal. Karola Ludwika 200 zł. m. k. 219 50 do 222 50, Kolej Lwowsko-Czern.-Jasska po 200 zł. w. a. 299.— do 302 —, Banku hypotecznego po 200 zł. w. a. 450.— do 460.—.

Listy zastawne za 100 zł.: Banku hipot. galic. 5 proc. los. w 40 lat. 101·20 do 101·90, 5 proc. z 10 proc. prem. 110·30 do 111·—, 4 i pół proc. los. w 50 lat. 100.— 100·70, Banku kraj. 4 i pół. proc. los. w 51 lat. 100·70 do 101.40, Banku kraj. 4 proc. los. 57 lat. 97·30 do 98·— Tow. kred. gal. ziem. 4 proc. (I emisya) 98·30 do 99·—, 4 proc. los. w 41 i pół latach 97·80 do 98·50, 4 proc. los. w 56 lat. 97·50 do 98·20.

Obligi za 100 zł.: Gal. fund. propinacyjnego 4 prc. 97·80 do 98·50 Bukowińskiego fund. propin. 5 proc. 102.00 do —.—, Kom. Banku kraj. 5 proc. (II emisyi) 102.00 do 102·70 Pożyczki kraj. 6 proc. 105·50 —.—, 4 pół proc. 100.— do —.—, 4 proc. z r. 1891 96.80 do 97·50, 4 proc. po — — koron z roku 1893 98·— do 98·70.

Monety. Dukat cesarski 5·78 do 5.88, Napoleondor 9.79 do 9.89, P Imperyał 10.10 do —.—, Rubel rosyjski srebrny czy papierowy 1.28 do 1.34, 100 marek niemieckich 60.50 do 61·—.

Wiedeń 12 lutego. Notowania wieczorne. Kredyty 415·37, węgierskie kredyty 502.50, anglobank 182·75, bankverein 161·30, uniony 326·50, länderbank 284·75, akcye kolei państwowych 398·50, lombardy 106·12, elbethal 278·75, akcye tytoniowe 242·25, rima 286.50, alpiny 91·70, renta majowa 101.20, węg. renta złota 124·80, austr. renta koronna 100·20, węgierska renta koronna 99·30, losy tureckie 74·70, marki 60·88, ruble 133·25.

Wiedeń 12 lutego (godz. 11 w południ.) Kredyty 414.50, kred. węg. —.—, Anglobanki 182.25, Uniony —.—, Bankvereiny —.—, Landerbanki 284.80, Akcye tyton. 241.50, Staatsbahny 397.75, Lomb. (z kup.) 106.25, Elbethale —.—, Renta pap. —.—, Renta węg. 4% kor. —.—, Renta węgierska złota 4% —.—, Alpiny —.—, Marki 60.77, Losy tureckie —.—.

RUCH POCIĄGÓW.

Czas środkowo-europejski, wcześniejszy od lwowskiego o 36 minut.

Odchodzą do:	Pociągi pospieszne		Pociągi osobowe		
Krakowa, Wiednia, Wrocławia, Berlina	2·24	10·10	4·50	10·35	6·55
Warszawy	—	10·10	4·50	—	6·55
Chabówki (Zakopanego) via Tarnów lub Rzeszów	—	10·10	—	—	—
Chabówki przez Rzeszów lub Przemyśl	—	—	—	10.35	—
Chabówki przez Stryj	—	—	9·50	7·10	—
Muszyny, Krynicy, Żegiestowa przez Tarnów lub Rzeszów	—	10·10	—	—	—
Muszyny-Krynicy, Żeg. przez Tarnów	—	—	4·50	—	—
M.-Kr. Żeg przez Stryj	—	—	—	7·10	
Mezö-Lab., Szczawnego Kulasznego via Przemyśl	—	—	—	—	6·55
Nadbrzezia i Tarnobrz.	—	10·10	4·50	—	—
Podw. i Brodów z dw. gł.	6·08	2·44	9·4[illegible]	10·26	—
„ „ z Podz.	6·23	2·36	10·04	1[illegible]·47	—
Suczawy	6·15	—	10·15	2·55	10·30
Czortkowa przez Halicz	—	—	—	2·55	—
Husiatyna przez Halicz	6·15	—	—	—	10·30
Słobody rung. Kopalni	—	—	10·15	—	10·30
Nowosielicy	6·15	—	—	—	10·30
Berhometu, Czudyna	6·15	—	—	—	—
Radowiec	6·15	—	10.15	—	10·30
Kimpolungu	6·15	—	—	2·55	—
Sokala	—	—	9·20	6·45	—
Bełzca	—	—	9·20	—	—
Borysławia przez Stryj	—	—	5·40	9·50	—
Ławocznego, Munkacza, Szereucz Miskolcz, Peszt Chyrowa przez Stryj	—	—	5·40	—	7·10
Stanisławowa, Doliny, Bolechowa przez Stryj	—	—	—	9·50	7·10
Skolego i Chyr. via Stryj	—	—	—	9·50	—
Stryja i Skolego	—	—	—	8·05	—
Przychodzą z:					
Krakowa (Berlina, Wrocławia, Wiednia)	2·32	5·25	9·00	8·10	9·00
Warszawy	—	5·25	9·00	—	9·00
Chabówki (Zakop.) przez Przem. Rzesz. lub Tarn.	2·52	—	—	—	—
Chabówki przez Rzeszów lub Tarnów	—	5·25	—	—	—
Chabówki przez Stryj	—	—	8·34	—	—
Muszyny Krynicy Żegiestowa przez Tarnów	—	—	—	—	9·00
Musz.-Kryn. Żeg. przez Rzeszów lub Tarnów	—	5·25	—	—	—
Mezö-Lab., Szczawnego-Kulesz. przez Przemyśl	—	—	9·00	—	—
Nadbrzezia i Tarnobrz.	—	—	—	6·10	—
Podw. i Brodów dw. gł.	2·12	9·29	9·10	5·45	—
Podw. i Brodów Podz.	1·58	9·13	8·45	5·19	—
Suczawy	9·40	—	7·37	12·27	6·35
Kimpolungu	9·40	—	7.37	—	—
Radowiec	9·40	—	7·37	—	6·35
Berhometu i Czudyna	9·40	—	—	—	—
Nowosielicy	9·40	—	7.37	—	—
Słobody rung. Kopalni	9·40	—	—	—	6·35
Husiatyna przez Halicz	9·40	—	7.37	—	—
Czortkowa przez Halicz	—	—	—	12·27	—
Borysławia przez Stryj	—	—	2·02	12·19	—
Bełzca	—	—	—	4·45	—
Sokala	—	—	7·48	4·46	—
Ławocznego (Peszt, Misk., Sz. Munk.) Chyr. i Stanisł. przez Stryj	—	—	8·34	12·10	—
Stryja i Skolego	—	—	8·47	—	—
Skolego, Chyrowa i Stanisławowa przez Stryj	—	—	2·02	—	—

Uwaga. Godziny drukowane grubemi liczbami oznaczają porę nocną od 6 wieczorem do godz. 5 m. 59 rano.

W biórze informacyjnem c. k. austr. kolei państwowych we Lwowie, ul. Trzeciego Maja l. 3 (Hotel Imperial) jest sprzedaż biletów strefowych, okrężnych, dowolnie zestawionych, zeszytów do jazdy, taryf i rozkładów jazdy w formacie kieszonkowym. Informacye w sprawach taryfowych i przewozowych.

29)

OSTATNI WYROK

POWIEŚĆ

MAKSWELLA GRAYA.

Tłómaczyła z angielskiego baronowa Zofia Hartingh.

(Ciąg dalszy).

Przez całą noc nie mogła zmrużyć oka, rozpamiętywując bolesne zdarzenia dnia poprzedniego. Wśród ciszy nocnej przywodziła sobie na pamięć słowa Andrzeja, wypowiedziane do niej w lesie, i serce jej złagodniało względem niego. On nigdy jej nie kochał, ale też i nie zdradził jej rozmyślnie, ze świadomością rzeczy. W pierwszej chwili zapomniał się aż do okrutnego zaparcia się jej, ale potem próbował złe naprawić. Nie mogła też potępić go za to, że usiłował oszczędzić tę drugą kobietę; wszak tamta jeszcze okrutniej zawiedziona została niż ona. Litość pełna gorącego uczucia, jaką jej okazała Gracya, spotęgowała jeszcze jej nienawiść. Gdybyż choć była brzydką lub ułomną, Renata czuła, iż przebaczyłaby jej prędzej; ale ta cudna, słodka twarz dziewczyny, która rzuciła zabawę, aby nieść pomoc obcej i nieznajomej, żądło zazdrości zapuściła w jej serce i zdawała się ścigać ją duchową swoją pięknością, którą kobieta z gminu odczuwała niemal instynktownie.

Szary, zimowy poranek zaświtał na niebie, a w miarę jak blade, grudniowe słońce podnosiło się wyżej, ją coraz głębsza, czarniejsza ogarniała rozpacz, ale serce jej wyczerpane wczorajszą walką, przystępniejszem się stało dla łagodniejszych uczuć. Zapragnęła gorąco raz jeszcze zobaczyć męża i rozstać się z nim w zgodzie. Wszak był ojcem jej dziecka i ono miało prawo do niego; powinien więc przynajmniej być powiadomionym o egzystencyi małej Andrei. Chciała tylko zresztą przebaczyć mu i otrzymać jego przebaczenie za wszystko, a potem już go więcej nie widzieć na oczy. Czuła to dobrze, iż nigdy już nie przyjmie on jej napowrót do swego serca, a i ona niezdolna była zapomnieć przeszłości, która jak mur nieprzebity stać będzie zawsze pomiędzy nimi. A jednak tak subtelne i zagadkowe jest serce kobiece, że nawet w tej beznadziejności bólu tkwiła jeszcze skryta myśl, iż może... może kiedyś, po wielu, wielu latach, gdy Andrzej zapomni o tej nowej kochance swojej, której przecież nie mógł poślubić, wróci do niej i do dziecka, które nierozerwalny łącznik stanowiło pomiędzy nimi. Bo któryż ojciec mógłby być całkiem obojętny dla swego dziecka?

Wyjęła hebanowy różaniec, połączony srebrnemi ogniwami i jęła ostrym scyzorykiem na odwrotnej stronie krzyżyka rzeźbić słowo: „Pardon!“ Włoży to godło Chrystusowej męki w ręce męża, a ono mu powie to wszystko, co leży na dnie jej serca. Pracując, wspominała ten dzień, tę chwilę, kiedy on dał jej ten różaniec. Pierwszy to raz wtedy zawahała się w pewności, że on ją kocha; dziś już nie miała wątpliwości w tej mierze.

Po południu wyszła z domu, długim, gorącym uściskiem pożegnawszy dziecię. Kiedy zamknęła drzwi za sobą i znalazła się sama na ulicy, wydało jej się, że to szare, obce miasteczko znanem jej było już oddawna i że przez całe swoje życie bezwiednie zmierzała do niego. I ten zimny, zamknięty kościół bez obrazu nad frontem, bez świętych postaci rzeźbionych w kamieniu także nie był jej obcym; mijając go doświadczała uczucia chłodu wiejącego z pustej, okazałej świątyni, w której nie czuła obecności Boga Pocieszyciela. A ci cudzoziemcy, tak dziwnie przebrani, bez bluz, bez krochmalnych czepców... ten tłum, wśród którego nie przewijał się nigdy szerokoskrzydły kapelusz, ani sutanna księża, ta mowa szorstka, niezrozumiała, jak ją to wszystko raziło wczoraj jeszcze, a dziś wydało się obojętnem!

Śnieg do połowy zasypywał okna sklepowe, po za którEmi wystawione były zabawki dziecięce, przeznaczone na choinkę; na ulicach panował ożywiony przedświąteczny ruch; ludzie potrącali się na chodnikach dźwigając rozmaitej wielkości paczki; gałązki jemioły i ostrokrzewu zatknięte były za każdą czapkę przechodnia. Renata popatrzyła na nie z dziwnie rzewnem uczuciem: lśniące listki i jagody musiały pochodzić z Bretanii.

Zdawało jej się, że wiek cały upłynął od chwili, kiedy wczoraj, niesiona na skrzydłach miłości i nadziei, przebiegała tę drogę. Każdy zapamiętany przedmiot: przydrożny domek o śniegiem zasypanym dachu i ganku obwieszonym zwiędłemi gałązkami pnących się roslin, płoty, drzewa, bezduszne kamienie nawet zdawały się spoglądać na nią z litością, gdy walcząc z wiatrem i śniegiem szła przed siebie z wyrazem niezłomnego postanowienia na bladej, cierpiącej twarzy.

Gdy stanęła u bram Cottesloe, mrok zaczynał zapadać na dworze, a czerwone światła jedne po drugich zapalały się w oknach pałacowych. Dokoła jeziora było pusto, na dziedzińcu również, tylko silny podmuch wiatru zmiatał nasypy śnieżne, skrzące tumany rozwiewając po polach. Renata zniechęcona przystanęła w cieniu wysokich, czarnych świerków, zapytując się w duchu, po co tu przyszła? Czy w nadziei, że może przypadkowo spotka tu Andrzeja? bo przecież nie pójdzie domagać się wejścia u bram tego dumnego, pańskiego pałacu. Okrążyła jednakże pod zasłoną mroku kręto wijącą się drogę i stanęła naprzeciw frontowego wejścia, do którego prowadziły kamienne schodki. Ukryta wśród krzewów, wpatrywała się w ten magnacki gmach, z którego kominów kłęby sinego dymu ulatywały w powietrzu i wysyłała gorączkowy wzrok w stronę oświetlonych komnat i myślała sobie, że on tam siedzi zapewne w blasku i cieple tych świateł i że jednem słowem, jednem skinieniem mogłaby go przyzwać do swego boku.

Na dworze cisza panowała zupełna, nawet warczenie psa nie zalatywało z podwórza; któżby bez koniecznej potrzeby chciał narażać się na taki chłód i zawieję? Niepostrzeżona przez nikogo, cicho stąpając po śniegu, w którym brnęła po kolana, podeszła do jednego z okien, przesłoniętego przejrzystą, koronkową firanką i spojrzała do wnętrza pokoju.

Jasny, polankowy ogień płonął na marmurowym kominie, wprost naprzeciw drzwi wchodowych. Patrząc na niego, wspomniała smutnie to rodzinne ognisko, którego stęsknione oczy jej nie ujrzą już więcej. Artystycznie malowany ekran zasłaniał z jednej strony miękką kozetkę i kilka nizkich, wygodnych fotelików. W głębi, w półmroku, widać było dębowe schodki, prowadzące do wnętrza pałacu. Stół również dębowy i kilka misternie rzeźbionych krzeseł ustawionych dokoła, przypomniały jej sprzęty bretońskiej chaty, ale na tem kończyło się porównanie między ubogą, chłopską siedzibą, a pańską, angielską rezydencyą. Tu na każdym kroku widniał magnacki zbytek.

Wśród szeptów kobiecych i srebrzystych wybuchów dziecięcego śmiechu odzywały się niekiedy pełne, górujące tony męzkiego głosu. Ruch i życie panowały w tem familijnem ognisku, przy którem miłość i zgoda zdawały się stróżować. Postacie niewieście przebiegały od czasu do czasu przez pokój, wlokąc za sobą długie wieńce zieleni, a uderzenia młotka zalatywały z sąsiedniego pokoju; była to bowiem wigilia Bożego Narodzenia i przystrajano drzewko dla dzieci w wielkiej, białej sali.

Więc to był dom jej męża, o którym tyle marzyła, do którego tęskniła tak bardzo! Jakże niepodobnym był on zupełnie do tej ubożuchnej siedziby, z której Andrzej wziął ją sobie za żonę. Po latach daremnego wyczekiwania danem jej było nareszcie ucieszyć smutne oczy swoje widokiem płomieni jego ogniska, ale patrzeć musiała na nie zdala, kostniejąca z zimna wśród ciemności i śnieżnej zamieci.

Bramy tego raju szczęścia i spokoju zamknięte były dla niej na zawsze.

ROZDZIAŁ VIII.

Ten blask ciepły, rudawy, płynący z wnętrza, zrazu olśnił jej spłakane oczy, nawykłe do jednostajnej bieli otaczających ją obszarów. Była wycieńczona głodem, zmartwieniem i daleką drogą, którą przebyła pieszo, to też wszystkie przedmioty i postacie wirowały chaotycznie w jej głowie wśród krwawych, migocących świateł i skrzących tumanów białości. Oparła się znużona bardzo o pień wyniosłej sosny, bo jej się wydało, że ziemia ustępuje z pod jej nóg. Naraz odgłos kopyt końskich zatętniał na gościńcu, pies podwórzony zaszczekał wywołując szczekania drugich psów, brama jakaś otworzyła się, w tył zapadła skrzypiąco, jakieś głosy odezwały się w oddali i ucichły i znów martwa jakaś, senna cisza zaległa dokoła, tylko wicher wyjąc przeciągle, harcował po polach ze śnieżycą, a przytłumiony gwar kobiecych głosów i miarowe uderzenia młotka zalatywały z wnętrza pokoi.

Renata strzepała śnieg z głowy i twarzy i schwyciła się za piersi, które rozsadzał ból straszny, przechodzący niemal w fizyczną katuszę. Myśli krwiożercze napływały jej do mózgu, przyśpieszone tętno krwi naprężało żyły na jej skroniach, bo tam, naprzeciw okna, w lśniącej koronie jasnych włosów, w bieli powłóczystych draperyi, wdzięczna i smukła, na tle rudych blasków ogniska rysowała się postać znienawidzonej kobiety. A ta, która drżąc z zimna śledziła ją z za szyby mściwemi oczyma, instynktownie odczuwała cały niepoównany, harmonijny wdzięk tej szlachetnej urody, której jej własna gminna piękność nigdy sprostać nie zdoła.

C. d. n.

Odpowiedzialny redaktor: Ludwik Masłowski.

Papier z fabryki Braci Fijałkowskich w Fiałej.

Z drukarni psr. W. Manieckiego. Zarządca W. Hocak